



**IRENE ROBERTS**

**ZŁOTY DESZCZ**



Przełożył: Jan B. Kowalski

## ROZDZIAŁ 1

Cudowna, wiosenna noc sprawiała, że serce Carol Keen wypełnia się uczuciem nieokreślonej tęsknoty. Chłodne powietrze, pełne zapachu trawy i kwiatów, było jak oddech przyrody, budzącej się do nowego życia.

Wysoko w górze, na ciemnogrnatowym tle nieba, jedna z gwiazd zamrugała nagle i opuściła swoje miejsce na firmamencie. Dawno temu, gdy życie Carol było nieprzerwanym pasmem radości, miłości i wszechogarniającym poczuciem bezpieczeństwa, matka opowiadała, że w takiej chwili należało wypowiedzieć jakieś życzenie... Niespodziewanie wszystko zniknęło i cały świat zawałił jej się na głowę.

Lodowato zimna noc, zupełnie nie przypominająca dzisiejszej, ciemna, zdradziecka droga i odmęty rzeki, i samochód, który w ułamku sekundy stał się narzędziem śmierci. Dwa życia zgasły jak płomyki świec. Nie było już ojca i matki — tylko stos poskręcane metalu i wymierzone w niebo, obracające się bezsilnie koła.

Gwiazda wydawała się podskakiwać z radości, więc Carol, prawie nieświadomie, prędko wyszeptała:

— Proszę cię, pozwól mi zatrzymać mój najdroższy, jedyny dom, Cherry Trees.

Wzruszyła ramionami i uśmiechnęła się po dziecinnemu. Zamknęła drzwi i na palcach, ostrożnie przeszła korytarzem, by nie zbudzić Amy. Wielki, stary zegar mrukiwie odmierzał minuty, gdy wychodziła na górę do swego pokoju.

Lekka mgła, nieomylny zwiastun pięknego dnia, wiła się i kłębiła za oknami. Była sobota, więc około południa można się było spodziewać tłumów ludzi, wędrujących najkrótszą drogą na plażę. Niektórzy z nich, bez wątpienia, zatrzymają się w Cherry Trees, zwabieni ślicznym, starannie utrzymanym ogrodem i kolorowymi parasolami, ocieniającymi okrągłe, zielone stoliki.

Carol zeszała na dół. Poorana zmarszczkami twarz Amy rozjaśniła się na widok smukłej, prawie chłopięcej sylwetki i gęstych, czarnych loków dziewczyny. Zręcznie podsunęła jej na talerz kromkę chleba z dżemem i nalęła herbaty do filiżanki.

— Dzień dobry, moja droga. Wyględa na to, że czeka nas dziś ładny dzień. — Uśmiech starszej kobiety zdawał się wprost emanować z jej twarzy i żywych, niebieskich oczu.

— Dziękuję — odparła Carol poważnie i wzięła kromkę. — Przede wszystkim powinien przynieść nam turystów.

— Pij herbatę, póki gorąca, kochanie. Potem nie będziesz miała chwili spokoju.

Carol posłusznie popijała gorący napój z filiżanki, zastanawiając się, co by zrobiła bez pocziwej, starej Amy. Najdroższej Amy, która sprowadziła się do Cherry Trees razem z rodziną Keenów, gdy przyszła na świat starsza siostra Carol, Frances.

— Jak bardzo chciałabym się dziś zmęczyć. Amy spoważniała.

— Jest aż tak źle? — zapytała.

— Mogłoby być lepiej — przyznała Carol. — Ale jeszcze trochę pociągniemy.

— Oczywiście. Pij, herbaty wystarczy.

Carol uśmiechnęła się, pokrywając zakłopotanie. W testamencie Giles Keen zapisał swojej młodszej córce dom i wiśniowy sad. Napisał, że wie, jak bardzo Carol kocha to miejsce i że będzie ze wszystkich sił walczyć o jego utrzymanie, podobnie jak on z żoną przez tyle lat. Całą gotówkę, zresztą niezbyt wielką, otrzymała Frances, na początek swej kariery scenicznej.

Trudno, pomyślała sobie Carol, chociaż tracę grunt pod nogami, nie poddam się bez walki. Jej duże, ciemne oczy, okolone pięknie zarysowanymi łukami brwi napęłniły się smutkiem, gdy przypomniała sobie reakcję Frances.

— Ależ dziewczyno! To przecież takie staromodne! Opuść sobie, sprzedaj to wszystko i jedź ze mną do miasta. Z twoimi zdolnościami i urodą na pewno znajdziesz sobie miejsce na scenie. Już Max się o to zatroszczy.

Carol pokręciła przecząco głową.

— Nie wyobrażam sobie siebie w roli aktorki, a poza tym nie przepadam za teatrem. Podoba mi się tutaj i nie zamierzam stąd wyjeżdżać.

— Czuję się za ciebie odpowiedzialna, Carol. Bądź rozsądna.

— Nie, Frances. Te dwa lata różnicy między nami nie zobowiązują cię absolutnie do niczego.

Frances zaczerwieniła się i długimi palcami zaczęła nerwowo przebieierać w złotorudych włosach.

— Nie zdążyłam. Naprawdę! Musiałam pojechać na północ, bo Max znalazł mi tam pracę. Nie można lekceważyć własnego agenta, wiesz jak to jest.

Carol spojrzała głęboko w oczy, które kolorem bardzo przypominały jej własne, i potrząsnęła głową.

— Wiem. Ale przede wszystkim pamiętam, jak sama wszystko musiałam załatwiać — zakład pogrzebowy, potem prawnik, odczytanie testamentu, i ci ludzie. Gdyby nie Amy, nigdy bym sobie nie poradziła.

— Ale ja...

— Nie tłumacz się już — powiedziała szorstko Carol. Uciekłaś, jak zwykle, kiedy rzeczy zaczynały iść nie po twojej myśli, kiedy szykowały się kłopoty. Teraz i tak nie ma to żadnego znaczenia.

— Czy pieniądze, które zapisał mi ojciec, ułatwiłyby ci w jakiś sposób utrzymanie domu? — zapytała Frances.

— Dziękuję, ale nie.

— Dlaczego jesteś taka uparta? Zastanawiam się, co cię tu tak trzyma — wzdygnęła się. — Owszem, jest tu całkiem przyjemnie, ale bez przesady! Ja sama czuję się tutaj jak przykuta łańcuchami. Rodzice też, nic tylko rachunki, rachunki i jeszcze raz rachunki. Praca, praca i nic poza tym, żeby mogli żyć...

— I umrzeć tutaj — dokończyła za nią Carol. — Dokonali wyboru i ja też wybrałam.

— W takim miejscu! — wykrzyknęła Frances. — Jak zaczynasz mówić, wydaje mi się, że świat w ogóle dla ciebie nie istnieje.

Carol wzruszyła bezradnie ramionami, nie znajdując dość słów, by przekonać Frances o tym, jak piękny, jak pełen życia i wspomnień jest dla niej ten dom. Jak wspaniale położony, wśród zielonych wzgórz, złotych pól uprawnych, nad rzeką, która zmienia kolor w zależności od pogody. O zapachu kwitnącego sadu, krzaków głogu, śpiewie ptaków, błękitnym niebie... O wszystkim, co składało się na jej słodkie, pachnące sianem otoczenie.

Nieprzekonana, nic nie rozumiejąca Frances wróciła do swego kruchego, choć błyszczącego świata oficjalnych przyjęć, przesłuchań, starań o role, gdzie każde słowo mężczyzny imieniem Max było prawem.

Upływały tygodnie, potem miesiące. Teraz Carol siedziała przy stole popijając herbatę i próbując zapomnieć o ostatniej serii rachunków, a nade wszystko nie chcąc okazać Amy, jak bardzo jest źle. Podeszła do okna i wyjrzała. Wschodzące słońce rozpraszało mgłę i przydawało otoczeniu jaśniejszych barw. Powietrze drżało radosnym śpiewem ptaków.

Nigdy stąd nie wyjadę, pomyślała, nigdy! Przypomniała sobie zaproszenie Frances i na jej ustach pojawił się mimowolny uśmiech na myśl o tym, że w rzeczywistości jej siostra chciała mieć za darmo kucharkę i służącą. Uśmiech obejmował drzewa, które wysysały życiodajne soki z

czarnej ziemi, kwiaty, ich zapach i całą przestrzeń dookoła. Jak można było twierdzić, że wiśniowy sad odbiera komuś wolność!

— Miałam rację — przerwała milczenie Amy. — Mgła o tej porze oznacza zwykle ładny dzień.

— Szkoda, że wcześniej pogoda nam nie dopisała — odparła Carol. — Te wiatry otrząsnęły wszystkie kwiaty z drzew i nie zbierzemy w tym roku zbyt wiele owoców.

Amy pokiwała bezradnie głową.

— A tak się wspaniale zapowiadały. Cóż, raz na wozie, raz pod wozem, jak to mówią.

— Mam nadzieję. Tym razem trzeba nam klientów. Żwir zachrząścił pod nogami listonosza, więc Carol wyszła mu na spotkanie.

— Dzień dobry, Mike. Ciekawe, ile dziś przyszło rachunków?

Mike wyszczerzył zęby w uśmiechu i podał jej białą kopertę.

— Nic nie wiem o żadnych rachunkach! Tym razem pewnie ktoś panience zapisał fortunę.

Chichocząc jak z doskonałego żartu, Mike wrócił do wejścia, gdzie o żywoplot wspierał się niepewnie jego rower. Carol pomachała mu dłonią na pożegnanie i pośpiesznie otworzyła kopertę. List był krótki i utrzymany w niezbyt grzecznym tonie.

Droga Pani!

Zamierzam wynająć u Pani pokój na jakiś czas. Mój przyjazd zależy od tego, czy jest Pani w stanie zapewnić mi spokojną atmosferę, niezbędną do pracy i czy inni Pani goście nie będą jej zakłócać. Jeżeli może mi Pani to zagwarantować, proszę mnie oczekiwać w najbliższym czasie.

Z poważaniem

Mark Ranspme.

Po przeczytaniu listu Carol była oburzona. Zapewne należał do tych mężczyzn, którym wydaje się, że są pępkiem świata. Kusilo ją, by utrzczyć mu nosa i odpisać, że pensjonat Cherry Trees jest zupełnie nowy na rynku, bo właściwie dopiero przed tygodniem zamieściła ogłoszenie o nim w gazecie, a skoro tak, nie ma mowy, by przebywali już w nim jacykolwiek goście. Pan Mark Ransome byłby więc długo oczekiwanym pierwszym z nich. Chociaż nie, przecież nie cierpię obcych w domu, pomyślała Carol. Z całym szacunkiem, niestety, zmuszona jestem odmówić...

— A ty nie sądziłaś, że ktoś w ogóle się odezwie. — powiedziała tryumfalnie Amy. — Przyznam, że czasami cię nie rozumiem.

— Przeczytaj sobie, co pisze, i zobaczymy, czy ci się spodoba. I dlaczego mieliby mu przeszkadzać inni nasi goście, gdybyśmy takowych

miały? Co on sobie właściwie wyobraża? Kim on jest, że oczekuje od nas usługiwania na palcach?

— Innymi słowy, właśnie się rozmyślałaś i nie chcesz wynająć piętra?

— Zastanowię się — odparła niepewnie Carol i wyszła. Dzień okazał się piękny. Około południa na drodze zaroilo się od samochodów jadących w kierunku plaży. Wiele z nich przerywało swą podróż w Cherry Trees, a ludzie z chęcią przysiadali na kolorowych krzesłach, zamawiając ciastka i bułeczki domowego wypieku.

Wieczorem, po podliczeniu przychodów z całego dnia, Carol zdecydowała się napisać list do Marka Ransome i zaprosić go na piątek.

Z tego powodu jego pojawienie się we środę było dla niej kompletnym zaskoczeniem. Pierwsze wrażenie, jakie wywarł na Carol, nie zachęcało bynajmniej do pogłębiania znajomości — pan Ransome zdawał się być wyniosły i nieprzystępny. Starannie wymawiając słowa zapytał:

— Powiedz mi, dziecino, gdzie jest panna Carol Keen. Świadoma faktu, że jej włosy znajdują się w nieładzie i że cała umazana jest bielidłem, którym przed chwilą skończyła malować drzewa, z początku nie wiedziała, co powiedzieć. On zaś niecierpliwie zabębnił palcami po stole i wbił w nią świdrujące spojrzenie popielatych oczu. Wreszcie wykrztusiła:

— Ja jestem Carol Keen. Odpowiedział jej zimno uśmiech.

— Ach tak. Nie jest pani zapewne osobą, która zamieściła ogłoszenie w gazecie, na które odpowiedziałem. Ale dość żartów, moja panno. Proszę przyprowadzić ciotkę, czy kogokolwiek, z kim mógłbym się dogadać co do warunków. I nie patrz tak na mnie.

— Wybacz pan — zaczęła zimno. — Ale przez cały czas chodzi panu o mnie. Niestety, sytuacja zmusza mnie do tego, bym dzieliła swój dom z kimś obcym, lecz, dzięki Bogu, mogę jeszcze zdecydować, kim będzie ta osoba. A teraz żegnam pana, panie Ransome!

Zamiast poczuć się dotkniętym do żywego i wyjść . trzaskając drzwiami, przybysz rozparł się wygodnie na fotelu, jakby niezupełnie dowierzając własnym oczom. Carol miała niejasne przeczucie, że w głębi, za zimnym spojrzeniem, czają się ogniki rozbawienia. Gdy odezwał się znowu, wydało jej się, że nie zwrócił uwagi na to, co zaszło między nimi do tej pory.

— Nie chcę, żeby mi przeszkadzano. Rozumiem, że od czasu do czasu będę musiał opuścić swój apartament, by można go było wysprzątać, biorąc jednak pod uwagę fakt, że pracuję obecnie nad sztuką, będziemy musieli się w jakiś sposób umówić co do rozkładu zajęć. Wydaje mi się jednak, że jutro wystarczy nam na to czasu.

— Jutro?

Przez jego twarz przebiegł grymas niezadowolenia.

— Tak postanowiłem.

— Ale ja jeszcze nie zdecydowałam, czy wynajmę panu mieszkanie. Poza tym wcale go pan nie widział.

— Nie muszę. Obejrzałem sobie wszystko, co powinienem. Okolica jest spokojna i nie pozbawiona uroku — w jego głosie zabrzmiało coś na kształt podziwu. — A przede wszystkim widzę, że doskonale się rozumiemy.

— Nie bardzo wiem, co pan ma na myśli — pokręciła głową Carol.

— Przeciwnie, wszystko pani rozumie. Niezbyt się pani podobam, więc jestem pewien, że będzie się pani trzymać z dala ode mnie, mnie zaś bardzo zależy na braku wszelkiego towarzystwa. Nie jestem zbyt wymagający i chętnie zapłacę dwa razy tyle, co pani żąda, byle tylko nikt mi nie przeszkadzał.

Wstał i Carol zorientowała się, że Mark Ransome zakończył już rozmowę. Z wielką ulgą powitała nadejście Amy.

— Amy, poznaj pana Ransome, który, jak sędzę, chciałby z nami zamieszkać. Panie Ransome, to jest Amy, która jest ze mną, odkąd pamiętam.

Amy skinęła przyjaźnie głową.

— Miło mi pana poznać. Pewnie chce się pan jak najszybciej sprowadzić.

— Jutro — powiedział zdecydowanie mężczyzna.

— Wiedziałam! To widok z pokoju pana przekonał...

— Amy, pan Ransome nawet nie widział swojego pokoju — przerwała Carol.

Amy przyglądała swe siwe włosy i nie kryjąc zaciekawienia przyglądała się młodemu mężczyźnie.

— Z całym szacunkiem, proszę pana — powiedziała. — Wydaje mi się, że powinien mu się pan przyjrzeć. Sprawi pan tym przyjemność pannie Carol.

— A sobie? — zapytał mężczyzna.

— Przyznam się, że wcale nie pomyślałam o panu — powiedziała szczerze.

Mark Ransome wyglądał na zaskoczonego.

— Proszę mi powiedzieć, od jak dawna wynajmujecie pokoje?

— Panna Carol wpadła na ten pomysł całkiem niedawno i niezupełnie jest do niego przekonana. Cherry Trees jest dość dużym ciężarem dla osiemnastolatki, jak pan być może zauważył. Może pan jednak pójdzie ze mną oglądnąć mieszkanie?

— To nie ma znaczenia — zaproponowała Carol. — Właśnie doszłam do wniosku, że jednak nie wynajmę nikomu piętra — poczerwieniała, gdy popielate oczy spojrzały jej prosto w twarz.

— Nie wygląda pani na osobę, która łatwo się poddaje.

— Nie bardzo rozumiem. Ja...

— Chciała pani wynająć mieszkanie, a teraz nagle się pani wycofuje.

— Nie o to chodzi. Po prostu nie chcę...

— Dobrze, obejrzę mieszkanie, a potem zamieszkać tu przez tydzień, na próbę. Proszę prowadzić — zwrócił się do Amy.

— Tędy, proszę pana. — Amy wzięła sprawę w swoje ręce.

Poszli na górę rzeźbionymi, dębowymi schodami.

— Ten apartament cały należy do pana — powiedziała Amy, otwierając drzwi. — Pokój do pracy, sypialnia, łazienka i mała kuchnia. Jestem przekonana, że przypadnie panu do gustu. Panna Carol bardzo się napracowała. Podoba się panu kolor, jaki wybrała na ściany?

— Sama malowała? — spytał z niedowierzaniem Ransome.

— Carol nie boi się żadnej pracy i... łatwo nie rezygnuje. Sama dogląda wszystkiego, może oprócz zbioru owoców, ale w zeszłym roku niezbyt obrodziły. Po opłaceniu wszystkiego zarobiła niewiele.

— A stoliki w ogrodzie?

— Niestety, turyści, podobnie jak wiśnie, nie znoszą złej pogody.

— Tymczasem goście zostają na dłużej, prawda? — w oczach Marka zabłyśły te same ogniki co poprzednio.

Amy skinęła głową.

— Tak. Przyprowaździłam tu pana, żeby dać jej trochę czasu na uspokojenie. Chciała pana stąd wyrzucić.

— Tak, jej intencje odczytałem dość jasno. Odkąd pamiętam, nigdy nikt nie potraktował mnie w taki sposób. I nie sądzę, że to wszystko, czego mogę się po niej spodziewać.

— Podoba się panu apartament? — Amy patrzyła na niego w napięciu, jak rozglądał się, najmniejszym grymasem twarzy nie dając poznać po sobie, czy podoba mu się, czy nie.

— Tak, zupełnie mi wystarczy — odpowiedział i zdecydowanym ruchem zamknął za sobą drzwi.

Wychodząc z domu powiedział Carol, że wróci następnego dnia z samego rana. Dziewczynę замуrowało.

— Zapłaci podwójny czynsz — powiedziała Amy, gładząc ją delikatnie po policzku. — To nie byle co.

— Wiem, ale ledwie go zobaczyłam, już go nie znoszę!



- Pomoże ci zatrzymać Cherry Trees — przypomniała Amy.
- Wiem, wiem...

RS

## ROZDZIAŁ 2

Olbrzymi, pełen godności stary dom, nazywany Cherry Trees, leżał z dala od głównej drogi. Wyróżniał się oknami w ołowianych ramach, dachem krytym czerwoną dachówką i wielkimi dębowymi drzwiami. W lecie rosnące wokół niego pnącza zmieniały zewnętrzne ściany w istną kompozycję malarską różu, czerwieni i złota, z porozrzucanym gdzieś fioletem clematisu. Jesienne barwy dzikiego wina: pomarańczowa, bursztynowa, brązowa, i soczysta zieleń przy zachodzie słońca sprawiały wrażenie, że dom stoi w płomieniach. Lecz teraz była wiosna — świeża zielenią ostrokrzewu i jasnożółtym kwieciami forsycji.

Murawa sięgała z przodu domu do samej drogi, a z tyłu ginęła w gęstwinie dzikiego jęczmienia, stokrotek i jaskrów. Ze szczytu domu widać było rzędy domostw na rogatkach miasteczka Tambethwell.

Z lewej strony droga biegła u stóp porośniętego gęstym lasem wzgórza, znad którego wystawała wysoka wieża średniowiecznego kościoła. Sam Cherry Trees otoczony był śnieżnobiałym puchem krzaków głogu, łąkami pierwiosneków i fiołków.

Tambethwell miało przynajmniej tyle lat, co kościół. Turyści niejednokrotnie zbaczali ze swego szlaku, by podziwiając spokój i cudowną przyrodę, wśród której żyli jego mieszkańcy.

Carol westchnęła głęboko i odeszła od okna. Wkrótce miał się pojawić Mark Ransome z całą masą bagażu, który z pewnością każe jej wnieść na samą górę, przewiercając ją przy tym na wylot swym ironicznym i wyniosłym zarazem spojrzeniem. Zadrżała na wspomnienie chwili, gdy stanął wczoraj przed nią — wysoki, ogromny, przytłaczający ją swą obecnością.

— Może nie przyjedzie — powiedziała do siebie na głos. — A wtedy zmienię treść ogłoszenia. Napiszę, że oferta dotyczy tylko pań!

W głębi serca wiedziała jednak, że Mark przyjedzie i że otworzy tym samym nowy rozdział w jej staraniach o utrzymanie Cherry Trees. Przy odrobinie szczęścia i czasu powinno wystarczyć pieniędzy na naprawę dachu. Szybko przeliczyła. Ha, pod koniec roku może jeszcze zostać co nieco na nowe drzewa, najlepiej jesiony, które osłoniłyby dom i sad przed wichrem. Nie zaszkodziłoby też spróbować szczęścia w ogrodnictwie. Szklarnie, to jest to! Pomidory, ogórki, dynie, kabaczki, a może nawet chryzantemy, paprocie i dalie. Uda mi się, na pewno, pomyślała, wiem, że się uda. Potrzebuję tylko trochę cierpliwości i pieniędzy.

Usłyszała, jak przed domem zatrzymuje się samochód. Odwróciła się i ujrzała wielki kremowy kabriolet, obwieszczający światu, że jego właściciel jest człowiekiem majątnym, który wie, jak sobie radzić w życiu.

Jakaż jestem dziecinna, pomyślała Carol i przygryzła wargi, by powstrzymać cisnące się do oczu łzy. Amy wyszła gościowi naprzeciw i wskazała drogę do garażu, nie używanego od chwili, gdy jej rodzice ulegli wypadkowi.

— Aha! Oto i panna Keen — powiedział nagle głęboki męski głos.

Zatopiona w rozmyślaniach nie zauważyła, że Ransome wszedł już do domu. Poczerwieniała i podniosła głowę, lekko się uśmiechając.

— Pozwoli pani, że powiem, jak pięknie dziś pani wygląda.

— Dziękuję za komplement, ale nie musi się pan dla mnie wysilać — odparła z powagą.

Uniósł brwi zaskoczony.

— Nie prawilem pani komplementów, stwierdziłem jedynie fakty. W porównaniu z wczorajszym dniem nie mogłem nie zauważyć różnicy.

— Innymi słowy nie jestem cała ubabrana środkiem owadobójczym? Dziękuję. Może napiłby się pan herbaty?

— Z przyjemnością.

— Czy mam panu pomóc w rozpakowywaniu, czy też uzna pan to za próbę wtrącania się w nie swoje sprawy?

Uśmiechnął się, spoglądając z podziwem na jej szczupłą sylwetkę. W dżinsach i jasnym swetrze wyglądała jak wcielenie wiosny.

— Jeżeli ma pani trochę czasu, to bardzo proszę o pomoc, a przy okazji, moglibyśmy chyba omówić codzienny rozkład zajęć.

— Rozkład zajęć? — pokazała w uśmiechu równe, białe zęby i spojrzała nań żartobliwie. — Oczywiście zrobi pan, co zechce. Jestem pewna, że w miasteczku znajdzie się ktoś chętny do pomocy.

— Ale myślałem...

— Jeżeli o mnie chodzi — przerwała — wynajmuję panu umeblowane, samodzielne mieszkanie. Na tym koniec.

— Rozumiem — jego twarz nie wyrażała żadnych uczuć. Wziął filiżankę herbaty i zaczął wolno pić.

W tej samej chwili do kuchni weszła Amy.

— Bardzo dobrze, panie Ransome, kiedy pan skończy, pomogę panu się rozpakować. Jestem przekonana, że jakoś uda nam się dogadać co do detali. Gdy będzie pan najmniej zajęty, chciałabym...

— Amy — powiedziała Carol ze złością. — Naprawdę nie mamy czasu na to, by zwracać sobie głowę prywatnymi sprawami pana Ransome.

— Bardzo dobrze, panienko. Przykro mi, że się w ogóle wtrącałam.

— Amy! — Carol była oburzona. — Koniecznie musisz wszystko zepsuć!

— Ależ skąd — oczy Amy patrzyły niewinnie. — Chodzi mi tylko o to, że nie zniosę, żeby plątały mi się po kuchni stada kobiet z miasteczka.

— Przecież pan Ransome ma swoją kuchnię — zauważyła Carol.

— Rzeczywiście — odparła Amy. — Czy mam pomóc panu Ransome się rozpakować?

— Jak chcesz — rzuciła Carol i wyszła.

Przez cały następny tydzień Carol starała się nie wchodzić nikomu w drogę. Amy spokojnie zajmowała się domem i Markiem Ransome, zaś Carol dzieliła swój czas między kuchnię a turystów, których nie było zbyt wielu, bowiem pogoda nie dopisywała. Pod koniec tygodnia Mark Ransome powiedział Amy, że chce zostać dłużej. Kobieta uśmiechnęła się, wygładziła fartuch i znalazła Carol.

— Kazał mi powiedzieć ci o tym.

— Co to ma znaczyć, Amy? Po czyjej ty jesteś stronie? — zapytała wzburzona Carol.

— Po twojej, kochanie, czy kiedykolwiek w to wątpiłaś?

— Ale pozwalasz mu na wszystko. Robi to, co mu się żywnie podoba! Ty go chyba lubisz!

— Widziałam już w życiu gorszych. Jest artystą i taki ma charakter. Traktuję go jak niegrzecznego chłopca i dość dobrze się rozumiemy, kiedy przestaje się dąsać.

— Czy to znaczy, że wszędzie zostawia ślady swego charakteru i ty to znosisz bez słowa?

— Tylko raz. Zrobiłam mu porządek na biurku i o mało nie oszalał. Powiedział, że nie może niczego znaleźć. Mężczyźni są zupełnie jak dzieci.

Mijał dopiero trzeci tydzień bytności Marka Ransome w Cherry Trees i Carol zmuszona była przyznać, że zmiany, które ten nie chciany gość wprowadził w jej życie, były zmianami na lepsze. Po raz pierwszy od bardzo dawna miała poczucie bezpieczeństwa. Mark nalegał, żeby przyjmowała także dość znaczne sumy pieniędzy za wyświadczone sobie usługi oprócz regularnie płaconego czynszu. Carol musiała ulec perswazjom Amy, która była wtedy stanowcza jak nigdy.

— Powinnaś zatrzymać te pieniądze dla siebie, Amy.

— A to dlaczego?

— Ponieważ to właśnie na tobie spoczywa główny ciężar obowiązków.

— Sprzątam mu, ale to ty robisz zakupy w miasteczku, ty gotujesz, ty...

— Robię to tylko dlatego, żebyś mi nie umarła z przemęczenia, i doskonale o tym wiesz. Pieniądze są twoje i nie ma dyskusji.

Amy delikatnie odsunęła kosmyk włosów z czoła Carol.

— Moja najdroższa — zaczęła cicho. — Wiedziałam, że z tobą będę miała dach nad głową na stare lata, że mnie nie zostawisz. Zawsze traktowałeś mnie jak swoją przyjaciółkę. Dziecko, czym byłabym bez ciebie? Jesteś jedyną pociechą dla starej kobiety. Co by się ze mną stało, gdybyś sprzedała Cherry Trees?

— Wiesz, że nigdy nie pozbędę się tego domu.

— Wiem, kochanie. Dlatego czuję się potrzebna, czuję, że mogę jeszcze coś zdziałać, żeby ci pomóc. Gotujemy dla dwóch osób, dlaczego nie miałybyśmy gotować dla trzech? Co to za różnica? Z panem Ransome jesteśmy bezpieczne.

— A co będzie, kiedy on wyjedzie? Pomyślałaś o tym?

— Jak wyjedzie, przyjedzie ktoś inny, nie martw się. W taki oto sposób Carol, wzruszona poświęceniem

Amy, zgodziła się na jej propozycję.

Dotrzymując słowa, Mark Ransome większą część dnia spędzał u siebie, ilekroć jednak spotkał Carol, był dla niej bardzo uprzejmy. Nawet Amy nie narzekała już na bałagan, który zostawiał.

— Czy on rzeczywiście jest aż tak sławny? — zapytała Carol.

— Tak, jego sztuki są bardzo popularne. Mówią, że miewał liczne romanse z aktorkami, zresztą nie tylko dlatego, że chciały zdobyć dla siebie role. Pan Ransome jest przecież całkiem przystojny, nie sądzisz?

— Nigdy sobie tym nie zwracałam głowy — powiedziała Carol, machając ręką. — Ale skoro poruszyłaś już ten temat, wiedz, że w zupełności się z tobą nie zgadzam. Myślę, że jest zarozumiałym nudziarzem. Nie wiem, czy w ogóle uda mu się skończyć tę sztukę.

— Jakże jestem pani wdzięczny za te szczerze słowa — dobiegł ją chłodny męski głos z korytarza.

Carol odwróciła się i zakrztusiła, czekając, co przyniosą najbliższe minuty. Spodziewała się wybuchu gniewu ze strony Marka, jego zimnych i wyniosłych słów, powiadamiających ją, że nie zostanie w Cherry Trees ani chwili dłużej. Jak bańka mydlana przysły wszystkie marzenia o utrzymaniu domu. Z wielką ulgą powitała więc kolejne słowa Marka:

— Amy, dostałem właśnie wiadomość, że jutro, koło godziny dziewiątej, przyjadą założyć telefon. Czy pora nie będzie dla ciebie za wczesna?

— Nie, skądże znowu! Niech przyjeżdżają i robią, co mają do zrobienia.

— Wspaniale — Mark spojrział na wzburzoną twarz Carol i dodał: — Czy na pewno powiedziałaś o telefonie pannie Keen?

— Nie musi pan się zachowywać, jakby mnie tu w ogóle nie było — wybuchła Carol. — Oczywiście, że Amy powiedziała mi o wszystkim i zgodziłam się.

— Mimo to dostrzegłem w pani oczach zdecydowanie negatywną reakcję.

— To prawda. Zastanawiałam się, dlaczego człowiek taki jak pan, niechętny towarzystwu innych, nagle chce mieć telefon.

— Czy wystarczy, jeżeli pani powiem, że w różnych porach muszę się kontaktować z kilkoma osobami, które z takiego czy innego powodu odgrywają dużą rolę w mojej pracy? Nie wyglądam jedynie towarzystwa głupich gęsi, których gęganie przyprawia mnie o mdłości. Czy wyrażam się jasno?

— Jak najbardziej. A teraz zechce pan wybaczyć. To o mnie mówił! pomyślała. Cóż za impertynencja!

Nagle jednak roześmiała się serdecznie, bo po raz pierwszy nie okazał się nudny. Usłyszał jej słowa i jak zwykły człowiek, postanowił się zemścić. Rzecz jasna wygrał, ale była to dopiero pierwsza runda!

Usiadła na pniu powalonego drzewa i zapatrzyła się przed siebie.

— Czy mogę pani przeszkodzić, panno Keen? Uśmiechnęła się złośliwie.

— Nie boi się pan, że zacznę gęgać i szczypać pana po nogach?

— A pani się nie boi, że zacznę opowiadać o swojej nudnej, nie kończącej się sztuce?

— Ogłaszam zawieszenie broni — roześmiała się. — Czy musimy się kłócić przy tak pięknej pogodzie? Niech pan patrzy, jak droga się świeci. Zupełnie jak tęczą.

— I nigdy nie kusiło pani, żeby sprawdzić, dokąd prowadzi?

— Nie. Mój skarb jest tutaj — oświadczyła z przekonaniem Carol.

— Nie martwi się pani, co przyniesie przyszłość? — wypytywał Mark.

— Czasami, lecz nigdy za długo. Amy ciągle powtarza, że fortuna kołem się toczy. Nie wiem, czy przyszło to panu do głowy, ale przyniósł nam pan nadzieję.

— Tak, powodzenie nigdy nie przychodzi łatwo. Trzeba stale o nie walczyć. Przez cały czas próbujemy złapać jakąś niedosiężną gwiazdę modląc się w duchu, żeby to była ta właściwa.

Posunęła się trochę, żeby zrobić mu miejsce. Usiadł i po raz pierwszy zauważyła, jak się uśmiecha. Jego twarz nabrała całkiem innego wyglądu: stała się młoda, ładna, może nawet zadowolona.

— Ale panu powodzi się nieźle, prawda? Czyli walkę ma pan już poza sobą.

— Właściwie tak, ale to jeden wielki koszmar — zgodził się. Zaczęłam w bardzo młodym wieku. Byłem sierotą i nikomu specjalnie na mnie nie zależało. Życie jest jednak najtwardszą ze szkół, a mnie się wreszcie udało. Nauczyło mnie jednak nie przepadać za ludźmi. Gdy jest się na dnie, bez grosza, tak się jakoś składa, że nie ma się wielu przyjaciół, a kiedy szczęście się uśmiechnie, człowiek otoczony jest całym rojem hipokrytów, złodziei i stworzeń gorszego jeszcze autoramentu.

— Chciałam pana przeprosić — powiedziała cicho. — Za te wszystkie okropne rzeczy, jakie wygadywałam o pana sztuce.

— No cóż, każdy ma prawo do własnych opinii.

— Ale ja nawet nie wiem, o czym jest ta sztuka, ani...

— Tylko niech pani nie przyjdzie czasem do głowy powiedzieć, że nie jestem zarozumiałym, nudnym pyszałkiem — zwrócił jej uwagę. — Bardzo ciężko pracowałem nad sobą i sama powinna pani ocenić efekty.

— Pan sobie ze mnie żartuje.

— Nie, ani mi to w głowie. Nie można śmiać się z ludzi, którzy stawiają czoło przeciwnościom. Jak pani sobie radzi z tym wszystkim? Czy nie wzięła pani zbyt wielu obowiązków na swoje barki? Proszę mi coś o sobie opowiedzieć.

— Dlaczego? — spytała zaskoczona. Roześmiał się, słysząc ton, jakim zadała pytanie.

— Jest pani bardzo bezpośrednia. Po prostu jestem ciekawy i to wszystko. Od dawna nie spotkałem prawdziwej osoby, jeżeli wie pani, co mam na myśli. Większość młodych kobiet, jakie znam, żyje w nierealnym świecie fantazji, pełnym marzeń i niewytłumaczalnych zdarzeń, oczywiście, wszystko to ma swą wartość, ale ja wolę rzeczywistość.

— Skąd pan wie, że ja jestem inna?

— Bo zaskarbiła sobie pani sympatię kogoś takiego, jak Amy, a ludzie jej kalibru nie mylą się nigdy.

— W stosunku do mnie Amy nie może być bezstronna, wszak opiekuje się mną od urodzenia.

Całkiem po prostu Carol zaczęła opowiadać Markowi historię swego życia. O śmiechu i miłości, o wiśniach, przytłoczonych ciężarem słodko pachnących kwiatów, a później owoców. O Frances, która zawsze uważała Tambethwell za namiastkę prawdziwego świata, i wreszcie o swym, własnym umiłowaniu tego miejsca, domu i okolicy.

— I nie ma pani żadnych przyjaciół płci przeciwnej? — zapytał jakby od niechcienia.

Zaczerwieniła się.

— Kiedyś związałam się na krótko z pewnym mężczyzną, ale to nie miało przyszłości.

— Czy mogłaby mi pani powiedzieć, dlaczego? — nalegał Mark.

— Całkiem po prostu. Peter Marriatt oświadczył mi się tuż po śmierci moich rodziców. Był dla mnie bardzo miły, pełen współczucia, ale byłam przekonana, że postąpił tak z namowy swego ojca.

— Nie rozumiem.

— Jego ojciec ma posiadłość przylegającą do mojej, nazywa się White Acre. Zapewne miał zamiar ją powiększyć, a najprostszą drogą ku temu było ożenienie syna ze mną.

— Musiała to pani bardzo przeżyć — powiedział cicho. — Przepraszam, nie powinienem był pytać.

— Nic nie szkodzi. Odczuła to tylko moja duma, ale wszystko już się zagoiło.

— Cieszę się. Jest pani zbyt młoda i zbyt delikatna na takie przeżycia.

— A pan? — przejęła inicjatywę w swoje ręce. Wzruszył ramionami.

— Teraz potrafię sobie poradzić ze wszystkim, bo niewiele jest rzeczy, których bym w życiu nie zakosztował. Ale zaraz, czy tam czasem nie zatrzymał się jakiś samochód?

— Rzeczywiście! — Carol skoczyła na równe nogi. — Panie Ransome, przynosi mi pan szczęście!

Pobiegli roześmiani w stronę domu, gdzie Mark Ransome we własnej osobie obsługiwał klientów, roznosząc herbatę i bułeczki, uśmiechając się i prawiąc komplementy. Wytarł nawet stół, na który latorośl jednej z par wylała mleko. Po pierwszym samochodzie zjawily się następne i niepostrzeżenie popołudnie przeszło w radosny wieczór, wypełniony śmiechem, zapachem powojów i żonkilów. Mark i Carol, uśmiechając się do siebie, dbali, by obsługa przebiegała sprawnie.

Gdy wyjechał ostatni z gości, zasiedli w kuchni przy stole, zadowoleni, że mogą choć przez chwilę odpocząć. Nagle Mark wstał i rozpromieniony powiedział:

— Posłuchajcie, zrobię wam po filizance herbaty a la Mark Ransome.

— Nie, ja... — zaczęła się wymawiać Amy, lecz on uciszył ją ruchem dłoni.

— Siedźcie tu i czekajcie na prawdziwą ambroję! Czy wiecie, że od lat nie czułem się tak znakomicie?



Amy i Carol uśmiechnęły się porozumiewawczo do i siebie, trochę zaskoczone, że w przeciągu kilku godzin Mark zapomniał o swym szorstkim sposobie bycia i stał ; się znów młody.

— Wróciła mi ochota do pracy — powiedział, stawiając przed nimi filiżanki z bardzo mocną herbatą. — Bardzo wam jestem za to wdzięczny.

Po krótkiej rozmowie pożegnał się i poszedł do siebie. Nie położył się jednak, bowiem gdy Carol szła do siebie na górę, słyszała niezbyt głośne stukanie maszyny do pisania.

Potrafi być miły, jak chce, pomyślała Carol. Zastanawiam się tylko, jak długo. Niebawem zapomniała o nim i zasnęła spokojnym snem.

RS

### ROZDZIAŁ 3

O dziewiątej rano, zgodnie z zapowiedzią, pojawili się monterzy od telefonów i przyjazne usposobienie Marką gdzieś się zapodziało. Zachowywał się jak ranny niedźwiedź. W nocy nie spał zbyt wiele, na co wskazywały podkrążone, zaczerwienione oczy. Poprosił o dużo mocnej kawy do śniadania. Na widok nieporządku, który zostawili po sobie monterzy o mało nie zrobił awantury, a gdy Carol zajrzała do środka, pytając, czy może w czymś pomóc, nieomal wyrzucił ją za drzwi. Nie chcąc mu się narzucać, wybiegła z pokoju, oburzona jego brakiem manier. Jak można!

Zmienny jak pogoda, pomyślała. Nie myliłam się, kiedy zobaczyłam go po raz pierwszy. Jest wstrętnym gburem i nienawidzę go. Na domiar złego zaczął padać deszcz, który wypłoszył wszystkich turystów z okolicy.

Bardziej niż przedtem, Mark zaczął unikać towarzystwa. Ostentacyjnie dawał dziewczynie do zrozumienia, jak bardzo przeszkadzają mu nawet przynieszone na górę posiłki. Patrzył na nią ze złością, jakby odbierała mu cenne chwile życia, tak że czuła się nieomal jak przestępca. Szybko stawiała przed nim tacę z jedzeniem i uciekała, po to, by po kilku godzinach odnieść na dół wystygłe, nietknięte porcje. Amy kręciła głową, lecz radziła przeczekać, natomiast Carol, mimo zupełnego braku sympatii do Marka, zaczynała się martwić jego sposobem życia.

Wreszcie któregoś dnia zdobyła się na odwagę i zapukała do jego drzwi, a on odezwał się głosem, który sprawił, że ciarki przebiegły jej po grzbiecie:

— Na miłość Boską, proszę wejść!

Wziąwszy głęboki oddech otworzyła jedną ręką drzwi, drugą przytrzymując tacę z jedzeniem i przestąpiła próg.

— Przepraszam, że przeszkadzam, panie Ransome — zaczęła — ale skoro pozwolił pan obiadowi wystygnąć, zrobiłam panu omlet, więc proszę go zjeść, póki gorący.

Zdecydowanym ruchem odsunęła na bok popielniczkę, w której piętrzył się stos niedopałków, i postawiła przed nim tacę. Mark Ransome przeniósł swój zimny wzrok z talerza na nią i powiedział ze złością:

— Nie lubię, gdy mi ktoś przeszkadza. Proszę to stąd zabrać.

— Obawiam się, że to niemożliwe.

— A to dlaczego? — warknął.

— Bo mieszka pan pod moim dachem i będzie pan robił to, co mu każe.

Oczy dziwnie mu zabłyśły.

— Jest pani pewna?

— Tak — odparła ostro. — Jak najzupełniej.

— Ciekawe.

— Proszę natychmiast zacząć jeść — powiedziała spokojnie i patrzyła, jak z grymasem na twarzy powoli je omlet. Gdy skończył, odsunął pusty talerz od siebie, a jego oczy odzyskały ironiczne wejrzenie.

— Wie pani co, panno Keen? Znakomicie pani gotuje. Powiem więcej, zaskoczyła mnie pani.

— Wiele razy przedtem przygotowywałam panu posiłki, tylko nie zdawał pan sobie z tego sprawy.

— Doprawdy? To, że zamykam się sam na cały dzień, nie oznacza, że jestem ślepy i głuchy — jego głos złagodniał. — Pogoda z pewnością nie ułatwia pani zadania, prawda?

Łagodny, miękki głos Marka o mało nie przyprawił ją o wybuch płaczu. Spojrzała na niego jeszcze raz i wybiegła z pokoju.

Było już bardzo późno, gdy Carol udało się przekonać Amy, by poszła spać. Chciała zostać sama i przemyśleć sobie parę spraw. Zmęczonym krokiem podeszła do biurka, skąd wyjęła kartkę i ołówek. Miała zamiar zrobić listę zakupów na jutro. Nawet pani Briggs, właścicielce małego supersamu, zdarzało się nie mieć wszystkiego, czego potrzebował Mark Ransome. Ponieważ płacił tak wysoki czynsz, Carol chciała, by miał wszystko pod ręką. Widać było jednak, że nie jest przyzwyczajony do oszczędzania i nie bardzo wie, na jak długo może wystarczyć określona suma pieniędzy. Przez kilka ostatnich dni miała spore kłopoty, by związać koniec z końcem.

Zrobiło się chłodniej, więc Carol wzięła rachunki i poszła do kuchni. W kominku palił się jeszcze ogień. Zrzuciła pantofle i wystawiła stopy do ciepła. Spojrzała w lustro na swe niesforne czarne loki, których nic nie było w stanie doprowadzić do porządku, aż wreszcie pokazała swemu odbiciu język i zabrała się do pracy.

Po chwili istniał dla niej tylko świat cyfr. Zaczęła określać poszczególne pozycje. Sto funtów. Za co? Aha, rachunek za naprawę dachu, pomyślała z niezadowoleniem. Deszcz znów przeciekał do bawialni. Spojrzała z nadzieją na drugą stronę zestawienia i zdała sobie sprawę, że pieniądze od Marka były tylko kroplą w morzu potrzeb.

Niespodziewanie w drzwiach pojawił się Mark i patrzył, jak liczy, pomagając sobie palcami.

— Czy nie znalazłaby się gdzieś zapasowa żarówka? — zapytał cicho.

Carol podniosła głowę, nie bardzo wiedząc, co się dzieje.

— Przepraszam, nie dosłyszałam. Czy mógłby pan powtórzyć?

— Przepaliła się u mnie żarówka — powtórzył, dostrzegając jej podkrążone oczy. — Czym się pani tak martwi?

— Rachunkami. Pogubiłam się. Przepraszam, zaraz panu znajdę żarówkę.

— Czy nie jest trochę za późno? Przydałoby się pani parę godzin snu.

— Ciągle odkładam wszystko na później, aż wreszcie zapominam o niektórych pozycjach. Mam tu trzy wyniki i jestem pewna, że żaden z nich nie jest poprawny — uśmiechnęła się przepraszająco. — Nie mam głowy do rachunków.

— Niech mi pani lepiej pokaże — powiedział prawie wesoło.

Przysunął sobie krzesło i usiadł koło niej.

— Co znaczy „pilne — opał”?

— Zaznaczyłam sobie, żeby nie zapomnieć o węglu do bojlera.

— Zsumowała to pani dwa razy. A co może znaczyć brarum?

— Brandy i rum, które zamówił pan w zeszłym tygodniu, kiedy był pan przeziębiony.

— Pomogę pani.

Patrzyła w milczeniu, jak dodawał wszystko po kolei, nie zapominając o sprawdzeniu wyniku, wreszcie wypisał wszystko przejrzysto, w trzech kolumnach i podkreślił wynik. Wyprostował się na krześle, rozdarty pomiędzy zniecierpliwieniem a współczuciem dla tej dziwnej, małej osóbkii — dziewczyny i kobiety w jednym.

— Niech sobie pani nie zawraca głowy żarówką. Czas spać.

Spojrzała nań niepewnie.

— Można by wziąć jedną z pokoju, a rano dałabym panu nową — powiedziała i wybiegła z kuchni. Wzięła krzesło, podstawiła pod lampę i wspięła się na nie.

— Pani wybacz — szepnął i bez najmniejszego wysiłku zdjął ją z krzesła. Przez moment ich oczy znajdowały się obok siebie. Mark, jakby coś go zdziwiło w ich wyrazie, spiesznie postawił Carol na podłodze.

— Moja mała panno Keen. Naprawdę najwyższy czas iść spać.

Trochę wystraszona, nie wiedząc, jak zareagować, po prostu uciekła.

Nazajutrz do Cherry Trees przybyła Julia. Mayne. Głośnym, nerwowym pukaniem dała znać o sobie. Carol otworzyła drzwi i ledwo zdołała stłumić okrzyk zaskoczenia. Julia była wysoka i bardzo ładna, uroku dodawały jej zwłaszcza długie jasne włosy, miękką falą spływające na ramiona. Miała na sobie prostą, czarną sukienkę, która uwydatniała powaby jej figury. Obok niej stały dwie duże, skórzane walizki. Spod domu odjeżdżała właśnie taksówka.

— Carol Keen? — zapytała Julia.- — Jestem Julia Mayne, słyszałaś chyba o mnie.

— Ach tak. Jesteś przyjaciółką Frances. Wejdz.

— Dziękuję ci, Carol. Pewnie chciałabyś wiedzieć, skąd się tu wzięłam.

— Mówiłam Frances, że jej przyjaciele zawsze będą tu mile widziani — rzekła z powagą Carol. — Nie musisz więc nic wyjaśniać.

— Jestem ci bardzo wdzięczna. Przedstawienie najzwyczajniej w świecie padło i oto jestem. Bez grosza przy duszy, o krok od śmierci, gdyby nie Frances, która powiedziała mi, że przez jakiś czas będę mogła tu zostać i wyleczyć się z ran. Duchowych, rzecz jasna.

— Mamy tu sporo miejsca. Ale... — Carol nie potrafiła ukryć niezadowolenia. Czowała, że Markowi Ransome nie spodoba się nowy gość, i zaczerwieniła się. Julia była przyjaciółką Frances i dlatego nie należało spuszczać z niej oka.

— Co się stało? Czy na pewno mogę tu zostać? — przez twarz dziewczyny przebiegł cień. — Nie mów mi, proszę, że nie mogę.

— Nie mam zamiaru — odparła Carol. — Chcę, żebyś wiedziała, że wynajmuję tu mieszkanie pewnej osobie, która musi mieć absolutny spokój do pracy.

— Nie ma sprawy, moja droga, będę siedziała cicho, jak... Dzień dobry.

— Dzień dobry — przywitała się Amy.

— Amy, to jest Julia, koleżanka Frances. Zostanie z nami przez jakiś czas — wyjaśniła Carol.

— Przygotuję łóżko w dawnym pokoju Frances — powiedziała z niechęcią Amy.

— Wspaniale — podziękowała jej skinieniem głowy Carol, lecz w sercu czuła, że jest odwrotnie. Miała wrażenie, że przyjazd Julii oznaczał początek burzy, jakiej podświadomie obawiała się przez cały czas pobytu Marka Ransome w Cherry Trees.

## ROZDZIAŁ 4

Julia rozpakowała się i zeszła na dół do Carol i Amy, zajętych przygotowywaniem posiłku. Była cała w uśmiechach i wcale nie kryła swego zaciekawienia domem.

— Nie będziecie chyba miały nic przeciwko temu, że poszłam na górę i zapukałam. Ktoś tam walił w maszynę jak szalony. No więc zapukałam, żeby się przywitać, a ten...

Carol zacisnęła usta.

— A ten ktoś ryknął jak ranny łoś?

— Dokładnie. Zupełnie jak w zoo! Kto tam mieszka?

— Pan... — zaczęła Carol, lecz wpadła jej w słowo Amy.

— Pewien młody mężczyzna wynajął całe górne piętro i nie cierpi, żeby mu ktoś przeszkadzał w pracy. Na pani miejscu zostawiłabym go w spokoju.

— Interesujące — powiedziała Julia z uśmiechem. — Zastanawiałam się, czy nie spotkam przypadkiem kogoś, kto mógłby wnieść tu trochę życia. A co tu właściwie można robić?

— Jest dużo pracy dla tych, którzy jej się nie boją — głos Amy nie zabrzmiał przyjaźnie. — Ale pani nie chce sobie chyba pobrudzić wypielęgowanych dłoni.

Julia roześmiała się zupełnie szczerze.

— Pracowałam w różnych miejscach — w kinach, w restauracjach, zmywałam naczynia, czyściłam podłogi. Byłam nawet przełożoną w szpitalu, ale musiałam się zwolnić.

Oczy Amy zabłyśły.

— Mówią, że z przełożonymi nawet ordynator boi się zdrzeć.

— Byłam zbyt łagodna. Nie nadawałam się do tej pracy. Przerazał mnie widok krwi i ludzkiego cierpienia. Siostry radziły sobie z tym doskonale, a ja czułam, że nie dorastam im do pięt. Jak widzicie, jestem pełnym tchórzem.

— Nie zgadzam się. Trzeba odwagi, żeby się do tego przyznać. Spodziewałaś się, że sztuka padnie tak szybko?

— Nie. — Julia pokręciła przecząco głową. — Wydaje mi się, że była dosyć dobra, ale publiczność była innego zdania.

— Ja bym się nie martwiła — powiedziała Amy. — Fortuna kołem się toczy. A teraz zrobię nam wszystkim herbatę.

Carol poczuła ulgę. Było widać, że Amy przekonała się do niespodziewanego gościa, więc pierwsza przeszkoda była z głowy. Pozostał

jeszcze Mark Ransome. Gdy herbata była gotowa, postawiła filiżankę na tacy i poszła na górę. Zapukała, po czym nie zwracając uwagi na brak odpowiedzi nacisnęła kłamkę i weszła. Mark przywitał ją złym spojrzeniem. Włosy miał w nieładzie, a sweter wyglądał, jakby go ktoś umyślnie posypał popiołem. Złość Marka przerodziła się we wściekłość, gdy zobaczył tacę z herbatą i ciasteczkami.

— Panno Keen, kiedy się pani wreszcie nauczy, że nie lubię, jak mi ktoś przeszkadza? Chcę mieć spokój, absolutny spokój! Czy mnie pani słyszy? Proszę mnie zostawić w spokoju!

— Tak, słyszę. Proszę zrobić miejsce na biurku, bo nie mam gdzie postawić tacy. Chyba nie chce pan, żebym ją upuściła.

Jednym zdecydowanym ruchem zrzucił z biurka stos książek i papierów.

— Proszę bardzo! A teraz proszę mi dać święty spokój!

— Przykro mi, ale nie mogę — uniosła do góry podbródek, jakby prowokując go do kolejnego wybuchu. Mark wbił wzrok w sufit.

— Co jeszcze?

— Opowiem panu, a pan tymczasem mógłby wypić herbatę.

Gwałtownym ruchem chwycił filiżankę i pociągnął tęgi łyk gorącego płynu. Poczzerwieniał na twarzy, siłą powstrzymując się od kolejnej awantury.

— Panie Ransome — odezwała się, starannie unikając jakiegokolwiek aluzji do tego, co stało się przed chwilą. — Jest coś, o czym powinien pan wiedzieć.

— Naprawdę? — krzyknął. — Czy przypadkiem nie to, że diabelski napój, który mi pani podała, jest tak gorący, że może spalić ciało do kości?

— Nie — odpowiedziała. — Lecz gdyby nie był pan w tak okropnym nastroju, nie oparzyłby się pan. Przyszłam panu powiedzieć, że mam... jeszcze jednego gościa.

— Co? — ryknął. — Niech się w tej chwili wyniesie, zanim nie oszaleję do końca. Zapłacę pani też za jego pokój.

— To nie on, lecz ona. Co do opłaty za pokój, bardzo to miło z pana strony (chciała powiedzieć „samolubnie”, lecz nie starczyło jej odwagi), ale nie ma mowy.

— Dlaczegoż to?

— Julia Mayne jest aktorką i odpoczywa po roli w przedstawieniu, które niestety nie odniosło sukcesu.

Pozostanie moim gościem, dopóki nie trafi jej się coś innego do roboty.

— To znaczy, że nic nie płaci?

— Panie Ransome — powiedziała Carol z ogniem. — Na świecie są ludzie majętni i biedni. Dlaczego nie może się pan cieszyć swoim powodzeniem, tolerując tych, którym się nie wie dzie?

— Bo widziałem rachunki. Powiedziałbym, że nie zostaje pani wiele.

— Czy pozwoli mi pan samej o tym zdecydować?

— Panno Keen, nie lubię, gdy pozuje pani na dorosłą.

— W pełni odwzajemniam to uczucie.

— Zrujnowała pani całe moje natchnienie. Mogę za to zabić.

— Żałuję, że wynajęłam panu ten pokój. Staje się pan nie do zniesienia.

Przez chwilę mierzyli się spojrzeniami. Serce Carol trzepotało gwałtownie, po raz pierwszy bowiem stawiała czoło człowiekowi, którego tak bardzo się bała. Czuła się przy nim taka mała, zagubiona, wręcz głupia. Nagle zachciało jej się płakać.

— Więc chce pani, żebym wyjechał? — zapytał ostro.

— Tak — wydusiła z siebie. — Za bardzo zależy mi na Cherry Trees. Wydaje się panu, że można do woli komenderować innymi, nie zwracając uwagi na to, co czują. Burzy mi pan mój porządek życia, panie Ransome.

— Innymi słowy, wolałaby pani, żeby zamiast mnie zjechała się tu banda nieudaczników i nierobów, czy tak?

— Jest pan niesprawiedliwy! Julia jest bardzo miła i nie taka, jaką pan sobie wyobraża. Poza tym jest przyjaciółką Frances i...

— Powinna pani bardziej dbać o moje potrzeby. Nigdy w życiu nie spotkałem tak dziecinnej i tak pozbawionej praktycznego zmysłu osoby. Jeżeli wyjadę, jak spłaci pani wszystkie rachunki?

— Jakoś zapłacę. Jak mawia Amy, fortuna kołem się toczy.

— Naprawdę? Sprzeda pani wiśnie? A może ni stąd, ni zowąd dopiszą turyści? Wynajmie pani mieszkanie jakiejś zrzedzającej starej pannie? Kłopot polega na tym, że mieszka pani na uboczu. Proszę mi powiedzieć, ilu ludzi odpowiedziało na ogłoszenie?

— Pan był pierwszy. Potem je wycofałam — głos jej zadrżał. — Proste, prawda?

— Nigdzie nie pojedę — powiedział szorstko. — Choćby z tego powodu, że zupełnie nie potrafi pani gospodarzyć.

— I tu się pan myli... — zaczęła, lecz przerwał jej.

— Poza tym cieszę się, że wreszcie spotkałem młodą kobietę, która nie znosi mnie zupełnie szczerze i otwarcie. Tak wiele przedstawiolek pani płci nie cofnęłoby się przed niczym, byle tylko dostać rolę w jednej z moich sztuk. Pani widok pomaga mi zachować właściwą perspektywę.



Najwyraźniej próbował wyprowadzić ją z równowagi. W jego oczach pobłyskiwały ogniki rozbawienia. Ze wszystkich sił starała się nie połknąć przynęty, ale uczucie było silniejsze.

— Nigdy nie widziałam tak zarozumiałego człowieka i nie zamierzam pomagać panu zachować właściwe spojrzenie na rzeczy. Ma pan tydzień na opuszczenie mojego domu.

Nie krył się już z uśmiechem.

— A co na to powie Amy?

— Amy jest moją... — rozpaczliwie szukała właściwego słowa.

— Służącą? — poddał usłudźnie.

— Nie!

— Ale płaci jej pani. Pracuje u pani, prawda?

— Nigdy nie myślałam o niej jako o służącej. Jest dla mnie bardzo bliską osobą.

— Właśnie! To pokazuje dogłębnie, jaka pani jest, panno Keen: bardzo młoda, bardzo naiwna, o wielkim sercu. Zbyt wielkim. Świat zniszczy panią, podepcze, że nawet ślad nie zostanie. Krótko mówiąc, nie przyjmuję wypowiedzenia do wiadomości. Kto wie, może nawet zjem razem z wami kolację, żeby się przekonać, kim jest ten tajemniczy gość.

— Nie jest pan nawet za...

— Proszę nie udawać dorosłej kobiety, panno Keen, bo udowodnię pani, jakim dzieckiem jest pani naprawdę.

— Jak pan śmie! Zaraz...

Poruszył się, jakby miał zamiar wstać.

— Przysięgam, że za chwilę przełożę panią przez kolano i...

Przez chwilę wydawało jej się, że spełni swą groźbę, więc co prędzej odwróciła się i wybiegła, trzaskając za sobą drzwiami. Zatrzymała się na moment, bo wydawało jej się, że słyszy śmiech. Nie była jednak pewna.

Zachowując się jak tchórzliwa mysz, pomyślała. Jakże ja nienawidzę tego człowieka! Nawet jeśli nie chcę, żeby stąd wyjeżdżał. Nagle znów ogarnęła ją fala złości, bo przypomniała sobie, jak za każdym razem, gdy wypominał jej wiek, wydawało jej się, że ma niewiele ponad metr wzrostu i że trzy lata. Nienawidzę go, pomyślała znowu. Gdyby nie to, że pomaga mi utrzymać Cherry Trees, wyrzuciłabym go choćby jutro!

Tego wieczoru wprawił ją w jeszcze większe zakłopotanie, pojawiając się przy stole w nienagannie skrojonym garniturze, uśmiechnięty i przyjaźnie usposobiony do wszystkich. Można by pomyśleć, że zmienił się nie do poznania. Julia, której urodę uwydatniała śliczna różowa sukienka, wyglądała na onieśmiałoną.

— Czy mam przyjemność siedzieć przy jednym stole z wielkim Markiem Ransome? — zapytała.

— W rzeczy samej, to ja — oczy zabłysły mu dziwnie. — Chce mi pani powiedzieć, że to dla pani niespodzianka?

Julia poczerwieniała.

— Jaki pan podejrzliwy!

Mark uniósł brwi ze zdziwienia. Carol natychmiast przysła Julii na pomoc.

— Julia nie miała pojęcia, że pan tu jest. Dottrzymałam słowa. Nawet moja siostra, Frances, nie wie, że wynajął pan tu mieszkanie.

— Piszecie do siebie?

— Raz w tygodniu.

— I nie przyszło pani do głowy wykorzystać takiej okazji? Panno Keen, czy pani aby na pewno dobrze się czuje?

— Najwyraźniej nie — odpowiedziała chłodno. — Dopóki Amy nie opowiedziała mi o sławnym i bogatym pisarzu Marku Ransome, nie miałam pojęcia, że taki istnieje.

— Aha — roześmiał się. — Zasłużyłem na to. A pani, panno...

— Julia Mayne — przedstawiła się Julia. — Proszę się mną nie przejmować, od czasu do czasu dostaję role wyłącznie na podstawie moich aktorskich umiejętności.

— To znaczy, że dla pani pisarze i producenci mogą sobie pójść do diabła, czy tak?

— Nie całkiem — przyznała. — Uważam ich za zło konieczne, ale potrafię ich usadzić, więc zanim przejdziemy dalej, proszę się uspokoić. Nie zamierzam na kolanach błagać pana o rolę.

— Tak czy owak kto wie, czy nie, byłbym skłonny pani pomóc — powiedział wolno.

— Naprawdę? — spytała przekornie Julia. — Proszę mi o tym przypomnieć po kolacji. Jestem teraz bardzo głodna.

Odczuwając złośliwą satysfakcję, Carol wpatrywała się w talerz. Julia władała słowem z taką samą łatwością jak Mark Ransome i potrafiła mu odplacić taką samą monetą za jego sarkastyczne uwagi. Amy, która w tej samej chwili puściła do niej oko, z pewnością też dobrze się bawiła. Założyła się, że tacy ludzie przypominają jej lalki z teatrzyku kukiełek. Ale Mark bardzo się dziś starał, nie wspomniał przecież po raz drugi o swej sztuce.

Po kolacji Julia przekonała Amy, że pójdzie jej pomóc zmywać naczynia. Carol, choć bardzo pragnęła uciec, musiała zostać z gościem. W myślach

dokonywała właśnie zabójstwa Amy za to, że stanowczo sprzeciwiła się obecności trzech kobiet w kuchni, gdy Mark odchrząknął.

— Czy wydaje się pani, że zachowałem się niezbyt uprzejmie?

— Tak.

— Niewiele pani wie o teatrze.

— Wiem wystarczająco dużo, by orientować się, że potrafi zniszczyć osobowość człowieka, zaszufladkować go na zawsze.

— Doprawdy? Ciekaw jestem, co pani powie o Michelle Anderson albo o Glorii Jerome czy Vivienne Saxon.

— Z tonu pana głosu mogę wywnioskować, że więdźmy z Makbeta nawet się do nich nie umywają — odparła spokojnie.

— Więdźmy są przynajmniej otwarcie więdźmami. Natomiast aktorki... ach, nieważne.

— Więdź dlaczego stara się pan mnie przekonać? — zapytała.

— Coś podobnego — powiedział zaskoczony. — Rzeczywiście, chyba tak. Nie wiem.

— Gryzie pana sumienie. — zawyrokowała. — Bo pomylił się pan co do Julii.

— Tak, w istocie, różnica jest dostrzegalna gołym okiem. Może mógłbym jej w czymś pomóc.

— A pomoże pan?

— Niewykluczone.

— Nawet po tym, co pan powiedział?

— Sprawiloby to pani przyjemność, panno Keen? Patrzył na nią wzrokiem bez wyrazu i czuła, jak się czerwieni.

— Ja nie mam tu nic do powiedzenia. Niech pan zapyta Julię.

— A jak nie będzie chciała zagrać w mojej sztuce? Praktycznie mi to przed chwilą powiedziała.

— Nie dał jej pan wyboru — szepnęła Carol. — Na jej miejscu zrobiłabym to samo.

Zmarszczył brwi i zapalił papierosa.

— Przyznam, że zachowałem się skandalicznie. Może nawet ją przeproszę.

— Szczerze?

— Tak. A teraz, w nagrodę, czy nie wybrałaby się pani ze mną na spacer?

— Nie wiem...

— Dobrze, proszę wziąć płaszcz.

Żałowała, że brakło jej odwagi, by odmówić. Nie lubiła, gdy traktował ją jak dziecko. Nie odpowiadało jej...

— Ubierz się, Carol! — powtórzył, a ona usłuchała.

RS

## ROZDZIAŁ 5

— Któregoś wieczora, kiedy wyszedłem sam na przechadzkę — zaczął Mark, gdy oddalili się już od domu — zauważyłem dość ciekawy budynek, z którego wnętrza dochodziły mnie jakby odgłosy zwierząt. Najróżniejsze.

— Pewnie chodzi panu o Shane'a.

— Shane'a?

— Jest weterynarzem i jednym z najsympatyczniejszych ludzi, jakich znam. Kocha zwierzęta, a one odpłacają mu tym samym. Dziwię się, że jeszcze go pan nie spotkał.

— Na spacery chodzę zwykle, żeby móc sobie rozmyślać w spokoju, a każde towarzystwo skutecznie mi to uniemożliwia. Poza tym nie byłbym zbyt dobrym partnerem do grzecznej rozmowy.

— Ale zauważył pan lecznicę dla zwierząt! — wykrzyknęła Carol.

— Słyszałem wiele dziwnych dźwięków i odgłosów, które mnie rozpraszały, byłem więc po prostu ciekawy.

— Zaskakuje mnie pan. Ciekawość to przecież bardzo ludzka cecha.

Roześmiał się.

— Czy moglibyśmy odwiedzić tego człowieka? Ciekaw jestem, jak wygląda ktoś, do kogo od pierwszego wejrzenia poczuła pani sympatię.

— Oczywiście. Jesteśmy bardzo zaprzyjaźnieni.

— Wydaje mi się, panno Keen, że niezbyt wiele wiem o pani i życiu tutaj.

— A ja bardzo mało wiem o panu i pana przyjaciółach.

— Gdyby ściśle rozumieć to słowo, nie sądzę, żebym miał jakichkolwiek przyjaciół — przyznał. — Ale wracając do weterynarza, czy proponował pani małżeństwo, jak ów Peter Marriatt?

Poczuła się zbита z tropu — Mark pamiętał ich poprzednią rozmowę. Z jednej strony cieszyła się, z drugiej nie bardzo wiedziała, co odpowiedzieć.

— Nie — wykrztusiła wreszcie. — Shane mnie nie dostrzega. Dla niego istnieje tylko moja siostra, zaś dla Frances tylko jej kariera, sława i pieniądze.

— Ale pani go lubi — zauważył Ransome.

— Bardzo i wcale się z tym nie kryję.

— Wnoszę stąd, że jest bardzo miłym człowiekiem i w niczym nie przypomina mnie — powiedział z rozbawieniem.

— Trudno by mi było bardziej precyzyjnie to wyrazić... Tędy dojdziemy najprędzej — wskazała na ogrodzone pastwisko.

Mark otworzył furtkę i puścił Carol przodem. W ciszy, przerywanej tylko odgłosem kroków na mokrej trawie, doszli do długiego, parterowego domu Shane'a Donavana. Carol zadzwoniła, lecz gdy nikt się nie pojawił, rzuciła Markowi niepewne spojrzenie.

— Wiem, gdzie go możemy znaleźć. Chce pan?

— Skoro tak daleko już zaszliśmy...

Poszedł za nią wybrukowaną drogą, zabudowaną po obu stronach.

— Czy pan uwierzy, że wszędzie jest zainstalowane centralne ogrzewanie? Shane powinien teraz być w ostatnim z budynków.

Rzeczywiście, za uchylonymi drzwiami znaleźli Shane'a Donavana, wysokiego, jasnowłosego mężczyznę. Spojrzenie jego popielatych oczu zdradzało pewnego siebie, lecz spokojnego człowieka.

— Dobry wieczór — powiedział głębokim, dobrze modulowanym głosem, gdy Carol przedstawiła ich sobie. — Czy chciałby pan poznać kilku mieszkańców tego domu?

Mark uśmiechnął się i skinął głową, głaszcząc czarną, aksamitną głowę spaniela.

— To jest Anthea — powiedział Shane. — Jest trochę zdenerwowana, bo niedługo urodzi swoje pierwsze szczeniaki. Znamy się od dawna, tak samo jak z Tinkerbella.

— Tinkerbella? — zapytał Mark.

— Tutaj. — Shane poprowadził go do małej klatki. — Biała myszka Tommy Briggsa. Zostawia ją u mnie, gdy wyjeżdża do szkoły.

— Czy to nie dziwne? Shane roześmiał się.

— Nie. Tinkerbella wyskoczyła pewnego razu z klatki, gdy karmiła ją pani Briggs. Bez wątpienia Tinkerbella bawiła się znakomicie, lecz pani Briggs przeżyła atak łagodnej hysterii.

Twarz Marka zdradzała rozbawienie. Shane pokazał mu dwa małe kotki.

— Przynieśli je kiedyś do mnie, żebym je uśpił, ale nie mogłem się na to zdobyć. Boję się, że mój zdrowy rozsądek zbyt często przegrywa z uczuciami, dlatego dzięki moim zwierzątkom nie powodzi mi się najlepiej.

— Ile ich pan w sumie trzyma?

— Z tymi dwoma małymi mam osiem kotów, trzy psy i Grumpy'ego, który jest świnką.

— Niemożliwe! — zainteresował się Mark. — Skąd u pana świnka?

— Grumpy był najślabszy z dość dużego miotu. Wydawało mi się, że będę w stanie go utrzymać przy życiu, ale farmer nie chciał mieć dodatkowego kłopotu na głowie, więc kazał mi z nim zrobić, co chcę. Oto i

on, bardzo przyjazny i bardzo czysty. Nie ma brudnych świń, są tylko brudni właściciele.

— Chciałbym od pana kupić Grumpy'ego i te dwa kotki. Proszę podać cenę.

— Bardzo to wielkoduszne z pana strony, ale za nic w świecie nie mógłbym się rozstać z Grumpym. Co do kotków, jeżeli zagwarantuje mi pan, że będą dobrze traktowane, dam je panu.

— Proszę się nie obrazić — pośpieszył z wyjaśnieniem Mark. — Myślałem, żeby panu za nie zapłacić i zostawić pod opieką, bo widzi pan... nie bardzo mam je gdzie trzymać, poza tym przed chwilą powiedział pan, że ich utrzymanie kosztuje.

— To miło z pana strony — uśmiechnął się Shane. — W rzeczywistości nie jest ze mną aż tak źle, jednak koty potrzebują jakiegoś swojego miejsca, najlepiej w domu.

Mark spojrzał na Carol pytającym wzrokiem. Ona przygryzła wargi i powiedziała z trudnością:

— Poczekam na was w domu, dobrze, Shane?

— Dobry pomysł. Nastawisz przy okazji wodę na herbatę? I jak będziesz otwierać drzwi, uważaj, żeby Gertie nie uciekła. Za nic nie będzie chciała wrócić.

— A kim jest Gertie? — zapytał Mark.

Oczy Shane'a ze smutkiem spoglądały na drzwi, które przed chwilą zamknęła za sobą Carol, jakby odprowadzając ją do domu.

— Kto to jest Gertie? — powtórzył Mark. Ton jego głosu nie zdradzał, że dostrzegł coś dziwnego w zachowaniu Shane'a.

— Ach, Gertie! Dwa lata temu miała być moim głównym daniem na świąteczną kolację. Dostałem ją od jakiegoś wdzięcznego klienta, który zaofiarował się nawet ukręcić jej łeb. Ale w chwili, kiedy wymawiał te słowa, Gertie mrugnęła do mnie. Przysięgam. Tak jakby mówiła: „Pomyślałby kto! Ten dureń nie wie, że tu jestem bezpieczna jak u Pana Boga za piecem!” W ten sposób stała się członkiem rodziny i praktycznie rządzi w całym domu., Dlatego musiałem przenieść tu kotki. Na pewno skusiłyby się na jakieś żarty, co nie skończyłoby się dla nich pomyślnie. Jak podrosną, to co innego.

— Dlaczego Carol nie chce wziąć kotków? Czy nie lubi zwierząt? — spytał Mark.

Wyraz twarzy Shane'a zmienił się nie do poznania, a ton jego głosu nie nosił już śladów dawnej wesołości.

— Wydaje mi się, że Carol boi się obdarzyć uczuciem jakiegokolwiek żywe stworzenie.

— Dlaczego? — zdziwił się Mark.

— Wie pan, jak zginęli jej rodzice?

— Amy mówiła mi, że w wypadku samochodowym.

— Straszna tragedia. Carol, jak zawsze, czekała wtedy na ich powrót do domu. Tak samo Złoty Deszcz. Tak miał na imię jej kot, z powodu swojej maści. Był jaskrawo-pomarańczowy. Mógł mieć wtedy z osiem lat i Carol wprost go uwielbiała. Keenowie wyjeżdżali z domu zwykle raz na tydzień i za każdym razem, gdy samochód zbliżał się do domu, Carol czekała na nich na schodach, a Złoty Deszcz siadywał na murze okalającym most. Samochód z impetem wjechał w mur. Kot również zginął.

— I od tego czasu Carol nie miała żadnego domowego zwierzątka?

— Nie, nigdy. Kiedyś zaproponowałem jej małego, rudego kotka. Frances sądziła, że to jej pomoże, ale Carol rozplakała się i powiedziała, że nigdy w życiu nie przywiąże się już do żadnego stworzenia. Carol bardzo wszystko przeżyła i teraz po prostu się boi.

— Rozumiem — powiedział Mark i podniósł kotki do góry. Jeden z nich był szary, a drugi popielato-brązowy. — Śliczne, prawda?

— Urocze. Ten szary to samiec, a drugi to samiczka. Chciałbym im znaleźć jakieś przytulne miejsce.

— Zajmę się tym — zdecydował Mark. — Czy ma pan jakiś koszyk, który mógłbym na pewien czas pożyczyć?

— Oczywiście, bardzo się cieszę.

— A przy okazji, czy mógłby mi pan coś powiedzieć o jej siostrze?

Twarz Donavana znieruchomiała.

— Dlaczego pan pyta?

— Wydaje mi się, że Carol jest trochę za młoda, jak na tę masę obowiązków, które na nią spadły.

— Sama wybrała — odpowiedział Shane. — A ja przekonałem się już wiele razy, że z własnymi kłopotami najlepiej sobie radzić samemu.

— Czy Frances potrafi sobie poradzić ze swoimi?

— Tego nie wiem, panie Ransome. Czas pokaże. Chodźmy już.

— Jeszcze kotki...

Shane włożył do koszyka dwa małe, wierzące się kształty do dość sporego koszyka i nakrył je.

— Nic im nie będzie. Boją się trochę, ale szybko się przyzwyczajają do nowego miejsca.



Carol siedziała zamyślona przed płonącym na kominku ogniem w dużej bawialni. Gertie drzemała z głową schowaną pod skrzydłem, lecz słysząc wchodzących, obudziła się i podreptała do Shane'a witając go czule. Żaden z mężczyzn nie wspomniał ani słowem o kotkach, czekających w przedpokoju.

Gdy wypili herbatę, Mark spojrzał na zegarek.

— Czy nie czas już na nas, panno Keen? — zapytał.

Carol natychmiast skoczyła na równe nogi. Była niespokojna, chciała jak najprędzej znaleźć się w zaciszu Cherry Trees. Mark domyślał się, że to z powodu zainteresowania, jakim obdarzył koty.

— Panno Keen? — spytał z niedowierzaniem Shane, potem uśmiechnął się na widok rumieńca na twarzy Carol.

— Prawdę mówiąc nie otrzymałem jeszcze pozwolenia, by móc zwracać się do niej inaczej — odparł Mark. — Chociaż samo imię Carol podoba mi się znacznie bardziej

— Jeżeli pan chce, proszę mnie nazywać Carol — powiedziała i wsunęła dłonie w rękawy płaszcza, który podał jej Shane. Jeżeli zauważyła koszyk w dłoni Marka, nie dała tego po sobie poznać.

Shane długo machał im na pożegnanie. Gdy wyszli z pastwiska, Mark zamknął starannie furtkę, podając Carol do potrzymania koszyk. Czekwała w milczeniu, aż skończy, patrząc na drogę, niknącą w oddali.

Nad ich głowami majaczyła srebrzysta gwiazda. Wieczór był chłodny i przepelniony świeżym zapachem wiosennych liści i młodej trawy. W takich chwilach najlepiej dostrzegało się niepokojącą siłę przyrody, która szykowała, się do letniej eksplozji życia, dni pełnych róż, ptaków i słodczych dojrzewających złotem zbóż.

— Chciałbym ci podarować te dwa kotki — powiedział cicho Mark.

— Nie, ja...

— Jednego możemy nazwać Złotek, bo ma na głowie jasną łatę w kolorze złota. Ten szary jest prawie srebrny, więc będziemy na niego wołać Deszczyk.

Wstrzymała oddech i spojrzała mu prosto w twarz.

— Jak... jak mogłeś? — wyszeptwała. — Shane ci wszystko powiedział, prawda? A ty znowu zachowałeś się okrutnie.

Ostrożnie wziął z jej ścierniętych dłoni koszyk i postawił go na ziemi. Położył jej ręce na ramionach i zaczął:

— Carol, porozmawiajmy przez chwilę.

— Nie mam zamiaru cię słuchać — krzyknęła. — Nie chcę!

## ROZDZIAŁ 6

Mark potrzęsnał nią. Lekki, lecz stanowczy gest zdusił w zarodku rodzącą się histerię.

— Carol, proszę, wysłuchaj mnie.

— Nie chcę — trzęsła się. — Nienawidzę cię, Marku Ransome.

— Sama nie wierzysz w to, co mówisz. A teraz uspokój się. Musisz mnie wysłuchać. Pamiętasz, jak ci opowiadałem, że byłem sierotą?

— Tak,, ale co...

— Wtedy oddałbym wszystko za jakieś małe zwierzątko, które mógłbym do siebie przytulić, coś, co należałoby tylko do mnie. Ale moje marzenie nigdy się nie spełniło. Nawet nie Wiesz, co to znaczy wychowywać się w zupełnej samotności.

— Nie wiem...

— Posłuchaj, Carol, ja nie mam nawet wspomnień o rodzicach, którzy by mnie kochali i troszczyli się o mnie. W moim życiu nie było kogoś takiego jak Frances, a nawet kota. Nie miałem nic i nikogo, Carol. Przez tych kilka lat byłaś szczęśliwsza niż ja przez całe życie.

— Przecież...

— Nie przyszło ci do głowy, że to właśnie ty jesteś okrutna? Dobrze wiesz, że nic nie wróci życia twoim rodzicom i że żadna miłość nie zastąpi miłości do nich. Ale zostało ci jej chyba na tyle, żeby podzielić się z dwoma małymi, bezdomnymi kotkami.

— Nie chcę! Nie mogę!

— Biedny Żłoty Deszcz!

Carol rozplakała się jak dziecko, szczerze i otwarcie, jakby przestało jej zależeć na zachowaniu twarzy przed Markiem.

— Jest takie stare powiedzenie, że największym komplementem wobec swego życiowego partnera jest powtórne małżeństwo. W ten sposób pokazuje się światu, jak szczęśliwe życie wiodło się w pierwszym. Do tego stopnia, że chce się je powtórzyć.

— Nie rozumiem. Puść mnie!

— Nie! — kontynuował Mark. — Po nieszczęśliwym małżeństwie nikomu nie postałyby w głowie myśli powtórnego przejścia przez piekło. Tak samo ty, odrzucając wszystkie zwierzęta z powodu jednego, nie wystawiasz mu najlepszego świadectwa. Mogłabyś przecież, ofiarując opiekę tym dwóm bezbronnym stworzeniom, w pewien sposób uczcić jego pamięć.

— Nie zniosłabym tego. Widzę go teraz, jak siedzi na murze i czeka na mamę i tatę. Wstaje, z pięknie wyprostowanym ogonem, bo słyszy, że nadjeżdża nasz samochód. Ja też wstaję i wybiegam na spotkanie rodzicom. Śmieję się, bo Amy przed chwilą powiedziała mi coś zabawnego, i nie mogę się doczekać, żeby im powiedzieć — i nagle wszystko wywraca się do góry nogami. Rodzice martwi, a koła samochodu tak się kręcą... Och, Mark!

Przytulił ją do siebie.

— A kot podczołgał się do taty i polizał mu dłoń, która wystawała przez okno — zimna i nieruchoma. I umarł. A ja tak strasznie krzyczałam i ...

Stali bardzo blisko siebie, dopóki Carol nie uspokoiła się. Czuła ciepło jego policzka. Po chwili wyszeptła:

— Powinniśmy chyba zająć się kociętami. Co prawda są w koszyku, ale jest dość wilgotno...

— Nie musisz się nimi zajmować. Ależ ze mnie głupiec!

— Nieprawda! — zaprzeczyła z powagą. — To prawda, co powiedziałeś o nich przed chwilą. Zatrzymam je. dziękuję ci, Mark.

— Za co? — spytał ostro. — Za przyspieszoną terapię psychologiczną? O Boże, jakież ze mnie idiota!

— Mark — powiedziała spokojnie. — Od czasu śmierci moich rodziców jesteś pierwszą osobą, której mogłam się wyplakać. Zwykle jest odwrotnie, wiesz, Frances przyjeżdża mi się wyzalić, a nawet czasem Amy. Jestem dla nich jedynym wsparciem i ze wszystkich sił staram się, żeby nie zobaczyły, że się boję, płaczę lub jestem smutna. Amy i tak wszystko dobrze wie, ale to jednak nie to samo.

— Dlatego jest mi jeszcze bardziej głupio, jeżeli to w ogóle możliwe. Carol, chciałbym...

— Nie, Mark, nie mów tak. Jesteś pierwszą osobą, z którą tak szczerze rozmawiałam o tamtej nocy, oczywiście oprócz policji. I chciałabym ci za to podziękować.

— Carol, czy będziesz w stanie mi wybaczyć moje zachowanie?

— Tak! — powiedziała i roześmiała się nieco niepewnym, trzęsącym się głosem. — A teraz zabierajmy kotki do nowego domu, bo pozdychają tam ze strachu.

Ruszyli w drogę. Carol czuła się znacznie pewniej, bo Mark nie przestawał obejmować jej ramieniem, niosąc w drugiej ręce kosz z dwoma miauczącymi wniebogłosy lokatorami.

Gdy dotarli do domu, Amy i Julia oglądały właśnie telewizję, lecz natychmiast przestały, kiedy Carol zdjęła wieko z koszyka. Z początku Amy

dziwnie przyglądała się Carol, po chwili jednak na jej policzkach wykwitł rumieniec, a twarz rozplynęła się w uśmiechu.

— Ha, ależ mam dzisiaj szczęście! — powiedziała. — Dom po prostu nie jest domem bez kotów grzejących się koło kominka. Chodźcie tutaj, chucherka, niech się wam przyjrzę.

Podniosła jednego z nich, który natychmiast popatrzył na nią dużymi, niebieskimi oczyma. — Jakiś ty śliczny!

— To ona. Ma na imię Złotek — oznajmiła Carol zdecydowanym głosem. — A ten drugi, srebrzysty, nazywa się Deszczyk.

— No, no. Bardzo dobry pomysł na imiona dla bliźniaków.

Jeden z kotków wygiął grzbiet ocierając małą główkę o nogi Julii.

— Jakiś ty słodki! — powiedziała, wzięła go na kolana i pozwoliła się bawić swymi długimi włosami.

— Niech mnie kule biją! Szkoda, że przy okazji nie przynieśliśmy ich więcej. Czy nie znalazłaby się gdzieś choć filiżanka herbaty? — zapytał z uśmiechem Mark. — Zrobiliśmy ładny kawał drogi.

— Za chwilę spróbuje pan najlepszej herbaty na świecie — odparła Amy, podała Carol kotka i wyszła z pokoju. Carol usiadła na fotelu tuląc do siebie małą, ciepłą kulkę, która po chwili zaczęła się bawić palcem jej dłoni i próbować, jak spisują się delikatne jeszcze pazurki. Drugi zaś próbował złapać swój cień. Od tej chwili serce Carol należało do kotków.

W nocy długo nie mogła zasnąć. Z oczu płynęły jej łzy, ale były to łzy szczęścia. Wyciągnęła dłoń i po omacku znalazła dwa ciepłe kłębki śpiące razem w nogach jej łóżka.

Następnego ranka Mike przyniósł list od Frances.

Moja najdroższa!

Nie obraż się, ale mam kłopoty. Prześlij mi jak najszybciej parę funtów pocztą. Będę ci dozgonnie wdzięczna. Max zostawił mnie na lodzie, jestem bez pracy i bez grosza. Muszę przyjechać do ciebie i się wypłakać. Mam nadzieję, że z Julią wszystko w porządku. Jest kochana, prawda?

Twoja Frances

— Złe wieści? — zapytał Mark za jej plecami. Odwróciła się i zamiast wybuchnąć złością, odpowiedziała:

— Niedobre. Obawiam się, że moja siostra znów straciła pracę i postanowiła przyjechać do domu.

Mark wyglądał na zrezygnowanego, jednak widząc wyraz jej twarzy, powiedział szybko:

— Wspaniale. Będziemy się jeszcze lepiej bawić.

Poczuła, jak do oczu napływają jej łzy, lecz powstrzymała je.

— Mark, nie musisz przecież udawać. Znowu ci zamoczę koszulę swoimi łzami.

— Zostało mi ich jeszcze dużo. Ale chyba nie powiedziałaś mi wszystkiego.

— Ona chce... Wiesz, jakie to dla mnie upokarzające? Chce, żebym jej posłała parę funtów.

— A ty ich nie masz.

— Wczoraj złożyłam dość duże zamówienie u pani Briggs. Potrzebujemy teraz więcej, odkąd Julia przyjechała, a nie ma...

Poczuła, że się czerwieni. Obawiała się, że Mark potraktuje to, co powiedziała, jako prośbę o pożyczkę. Nigdy dotąd nie czuła się tak zawstydzona. Najgorsze, że miała nadzieję, że Mark powie...

— Myślałem, że przeżywamy właśnie jeden z naszych krótkich rozejmów. Poza tym chyba nie jestem aż taki zły, prawda?

— Prawda — powiedziała cicho. — Ale nie wiem, czy potrafisz mnie zrozumieć.

— Nie potrafię? Wydaje ci się, że poskapiłbym grosza na pożyczkę dla kogoś w potrzebie? Opowiadałem ci, że zdobyłem wszystko, co mam, ciężką pracą i wiem, jak to jest mieć kłopoty. Nie zapominaj o tym. Proszę, weź — tu masz trochę dla Frances i coś na drobne wydatki.

— Nie! Nie mogę...

— Musisz! Pamiętaj, teraz masz na swoim utrzymaniu dwie aktorki bez pracy.

— Nie całkiem — odezwała się Julia.

Biedna Julia, pomyślała Carol. Musiało ją to dotknąć do żywego. Tym większe było jej zdumienie, gdy spojrzała na nią, bowiem Julia wprost promieniała z radości.

— Nigdy nie zgadniecie, co zrobiłam — zaczęła tajemniczo. — Właśnie dogadałam się z mleczarzem. Nie takim, jakich widzi się codziennie na pęczki, ale prawdziwym człowiekiem interesu!

— Pewnie z Jessopem, właścicielem mleczarni — dodała Carol. — Dość dobrze prosperuje w miasteczku, tak jak jego ojciec.

Mark oniemiał z zachwytu.

— To znaczy, że będzie pani doić krowy i rozwozić mleko po okolicy?

Pomysł ten tak spodobał się Julii, że roześmiała się.

— Niezupełnie. Mam pomagać w mleczarni. Będę sprzedawać jaja, mleko, masło i inne rzeczy za jedyne sto funtów tygodniowo, które z radością oddam Carol.

— Nie mówi pani poważnie! — zawołał Mark.

— A to dlaczego? Robiłam już gorsze rzeczy. Poza tym lubię być dobra w tym, co robię, więc obroty firmy na pewno wzrosną, bo jak nie...

Nie wierzę, że starczy pani siły woli — powątpiewał Mark.

Julia wzruszyła ramionami.

— Czy pan naprawdę uważa, że większość z nas wypełnia sobie czas między rolami romansując z bogatymi mężczyznami, panie Ransome? Przyznam, że musiał się pan obracać w dziwnym towarzystwie. Zawaliłam tylko raz i tylko dlatego, że nie cierpię widoku krwi, ale referencjami z innych miejsc mogłabym sobie wytapetować pokój. Może chce pan sobie poczytać?

— Nie, dziękuję. Wierzę pani na słowo — odparł Mark z szacunkiem, potem dodał wesoło. — Będę tam pani pierwszym i najlepszym klientem.

— Cieszę się. Niech pan pamięta, za każdym razem nie mniej niż dwa tuziny jaj. Ojej, już tak późno? Muszę lecieć. Mam tam być na dziewiątą!

— Niech się pani nie denerwuje, samochód jest gotów do drogi. Będziemy na czas, a ja przy okazji zrobię zakupy — z tymi słowami Mark pobiegł do garażu.

— Widzisz, moja droga? — powiedziała Julia. — Wydaje mi się, że powoli budzi się w nim człowiek.

— Tak — zgodziła się Carol, patrząc na dwa kotki, które przewracając się jeden przez drugiego i goniąc się zbliżyły się do niej.

Gdy Mark z Julią odjechali, Carol wróciła do kuchni i dała kotkom mleka ze śmietaną. Amy uśmiechnęła się.

— Jak tak dalej pójdzie, zrobią się strasznie grube. Już jadły śniadanie.

— Teraz, kiedy jeszcze rosną, nic im nie zaszkodzi, a ja bardzo lubię patrzeć, jak potem myją sobie pyszczki. Amy...

— Tak, kochana?

— Po raz pierwszy w życiu zgadzam się w zupełności z Frances. Julia jest jedną z najmilszych osób, jakie w życiu spotkałam.

— Przyznam się, że kiedy ją po raz pierwszy zobaczyłam, chciałam od razu wypowiedzieć jej wojnę, ale zaskoczyła mnie. Jest twarda i nie boi się pracy.? Dlatego szepnęłam parę słów Jessopowi.

— Więc to ty załatwiłaś jej pracę! Jesteś kochana! Ciekawe, co teraz zrobi Mark. Zaczęło się od podwiezienia do miasteczka.

— Niezła byłaby z nich para — zauważyła Amy.

— Masz rację — przyznała Carol, choć przy tych słowach coś ścisnęło ją za serce. Piła herbatę i powtarzała w myśli imiona: Julia i Mark, Mark i Julia.

— Ojej! Znowu zaczyna padać — wykrzyknęła Amy, spoglądając przez okno.

— I skończą się turyści — pokiwała głową Carol. — A tak mi zależało na tych kilku funtach.

— Przyszły jakieś nowe rachunki?

— Nie, niezupełnie. Pożyczyłam trochę pieniędzy od Marka i chcę mu jak najprędzej zwrócić dług. Chodzi o Frances, znów ma kłopoty. Zresztą sama przeczytaj.

Amy wzięła list i zaczęła czytać.

— Możemy z nią mieć więcej kłopotów niż z Julią — powiedziała Amy oddając list. — Frances zawsze była skora do płaczu i narzekań, kiedy tylko coś jej nie pasowało. Żebym nie powiedziała tego czasem w złą godzinę, ale szykują się rzeczywiście poważne kłopoty.

— Właśnie tego się boję — westchnęła Carol. — Moja siostra potrafi być miła, ale nie wyobrażam sobie, by przeszła obojętnie obok tego, że Mark pisze sztuki. Zacznie pod ładą pretekstem wychodzić na górę i przeszkadzać mu w pracy, a wtedy...

— Przemówię jej do rozsądku — zdecydowała Amy. — Powiem, że jak tylko zacznie... Och, popatrz na tego urwisa, dobiera się do sadzonek.

Mały, popielaty kotek znalazł się nagle w powietrzu, a na jego różowym nosie złożony został pocałunek, po czym puszysta kulka wróciła bezpiecznie na dywan.

— Bądź grzeczny — Amy pogroziła kotu palcem. — Albo i tobie się dostanie.

Deszczyk potraktował ostatnią uwagę z należną jej pogardą i zaczął się myć.

Ścieląc łóżka, Carol pogrążyła się do reszty w smutnym nastroju. O szyby dzwonił deszcz, zwiastujący finansowe kłopoty. Jej rozmyślenia przerwał trzask zamykanych drzwi samochodu. Wyjrzała przez okno i ujrzała biegnącą sylwetkę Marka, który pod pachą trzymał jakieś zawiniątko. Postanowiła wyjść mu naprzeciw.

— Zakupy — powiedział radośnie, strząsając resztki deszczu z czarnych włosów. — Mam nadzieję, że lubicie jajka, bo kupiłem trzy tuziny, a do tego masło, sery i konserwy dla kotów. Dziwna to mleczarnia, gdzie sprzedają konserwy. Oprócz tego parę innych rzeczy, o których Julia powiedziała, że mogą się przydać.

Amy pokręciła głową ze zdumienia, widząc taką ekstrawagancję, bądź co bądź ze strony gościa, chociaż w duchu bardzo się ucieszyła.

— Nie mam dziś nastroju do pracy — oznajmił niespodziewanie Mark.  
— Chciałbym wybrać się z Carol na przejażdżkę. Poradzi pani sobie sama, Amy?

— Co mam sobie nie poradzić. Carol na pewno bardzo się ucieszy. Potem nie będzie miała czasu, jak Frances...

— Amy! — krzyknęła gniewnie Carol.

— Ubierz się. Zobaczymy, co się tylko da w taki mokry i smutny ranek.

W mgnieniu oka Carol rozpogodziła się i lekkim krokiem pobiegła po płaszcz.

RS



## ROZDZIAŁ 7

Przystanęli obok sklepu pani Briggs, gdzie mieściła się także poczta, i wysłali do Frances list z banknotem dziesięciofuntowym. Potem ruszyli, aż koła samochodu zapisyzczały na mokrej nawierzchni drogi. Krople deszczu uderzały rytmicznie w dach auta, a wycieraczki mruczały sennie, odgarniając z szyby rozpryskującą się wodę. W środku było ciepło i przytulnie. Carol, spoglądając na Marka, uspokoiła się. Po raz pierwszy od wypadku rodziców jechała z kimś samochodem, lecz on nie wiedział o tym.

— Dokąd jedziemy? — zapytała wreszcie.

— Poczekaj, zobaczysz.

— Czy znam to miejsce? — nie dawała za wygraną.

— Panno Keen — powiedział z udaną srogością w głosie. — Nic pani u mnie nie wskóra choćby najsprytniejszym podstępem. Musi pani poczekać.

— Nie jestem pewna, czy jestem odpowiednio ubrana. Nie miałam pojęcia, że chcesz mnie gdzieś zabrać.

— Dzinsy, kurtka, szalik i sweter zupełnie wystarczą.

— Nie wysiedzę tu ani chwili dłużej, jak mi nie powiesz.

Roześmiał się.

— Doskonale. Mam nadzieję, że mimo wszystko nie będziesz miała nic przeciwko temu, chociaż kobiety, które znam, nie byłyby zachwycone.

— Dalej nic z tego nie rozumiem.

— Jedziemy do sierocińca — powiedział nagle. — Szary budynek z cegły, którego widok doskonale pamiętam z dzieciństwa.

— Och!

— Dziś jest tam przyjęcie. Zawsze, gdy sześcioro lub więcej dzieci obchodzi urodziny tego samego dnia, urządza się dla wszystkich przyjęcie. Baloniki, kolorowe stroje, konfetti i inne rzeczy.

— A na pojedyncze urodziny?

— Każdy dostaje jakąś paczkę z prezentami, ale to nie to samo, co sózotka. Wszyscy wtedy dosłownie wariują.

— Zupełnie inaczej wyobrażałam sobie dotąd sierocińce.

— Coś się jednak zmieniło od czasów Jane Eyre — roześmiał się.

— Ale przecież mówiłeś mi kiedyś, że byłeś tam nieszczęśliwy.

— Nie. Powiedziałem, że czułem się samotny, a to zupełnie co innego. Byłem sam, gdy odnosiłem największe sukcesy, otoczony radosnym, podnieconym tłumem. Zawsze czułem się kimś z zewnątrz, kimś, kto przygląda się, ale nigdy nie dołącza do innych. Może właśnie z tego powodu moje sztuki mają powodzenie.

— Jakbyś przyglądał się uroczystemu przyjęciu w czyimś domu przez okno?

— Dokładnie tak — na chwilę przeniósł wzrok z drogi na nią. — Twój dom wszystko zmienił.

— To znaczy że w Cherry Trees czujesz się lepiej? — zapytała.

— Czuję się jego częścią. Przyjął mnie i zaakceptował jak swego. Chyba mam zbyt wybujałą wyobraźnię, ale czułem, jak jego ściany otwały się przede mną. W sumie jest to przecież szczęśliwy dom, pełen pokoju i miłości. Dobrze mi w nim.

— Nawet gdy się wściekasz i krzyczysz na nas jak ranny niedźwiedź?

— Kiedy pracuję, nie istnieje dla mnie świat zewnętrzny i zamykam się w sobie. Nawet archanioł Gabriel wyprowadziłby mnie w takiej chwili z równowagi. Wcale nie oczekuję, że mnie zrozumiesz, bo modelujesz swoje zachowanie na wzór innych, natomiast dla mnie wzorami są moi bohaterowie, których sam tworzę.

— I dlatego czasami zachowujesz się tak, jakbyś nienawidził innych?

— W takich chwilach — tak — wyszczerzył zęby w uśmiechu.

— Wobec tego cieszę się, że trafiłam na jeden z twoich spokojniejszych dni, bo szczerze mówiąc, o mało nie dopadła mnie dziś chandra. Deszczowe lato oznacza brak gości, a brak gości...

— Jak powiada Amy — przerwał jej — nie martw się, wszak fortuna kołem się toczy.

— Po tylu latach sama jestem skłonna w to uwierzyć. Wreszcie dojechali do miasta, na oko nie różniącego się niczym od setek innych. Porządnie utrzymane domy, okolone żywopłotami, pomalowane wesołymi kolorami drzwi z wypolerowanymi kołatkami, drzewa, ożywiające nieco monotony krajobraz miasta. Po lewej stronie ukazał się im sierociniec, otoczony wianuszkami czerwonych klonów i akacji. Mark jednak nie zatrzymał się.

— Jedziemy do sklepu — wyjaśnił. — Bardzo ważnego miejsca dla sierot, które właśnie dostały swoje kieszonkowe. Sam często tam zaglądałem.

— A teraz chcesz, żeby przyjęcie wypadło jak najokazalej, prawda? — dopowiedziała Carol.

— Mam taką cichą nadzieję. Oczywiście pomagam im nie tylko od wielkiego dzwonu, ale takie urodziny to wielka sprawa.

Zatrzymawszy się przed sklepem ze słodyczami, weszli do środka powitani dźwiękiem dzwonka i uśmiechem pyzatej sprzedawczyni.

— Cieszę się, że pana znów widzę, panie Ransome.

— Nigdy bym nie przepuścił takiej okazji, pani Bennis.

— Wszystko zapakowałam zgodnie z pana zamówieniem. Do tego pan Henry przyszedł dziś rano i poprosił o lody. Dałam mu je. Czy dobrze zrobiłam? — zapytała.

— Doskonale. A tak przy okazji, na wystawie zauważyłem bardzo okazałe pudełko czekoladek, to z różami w środku i wstążkami dookoła. Czy mogłaby mi pani je zapakować?

— Z przyjemnością!

Pani Bennis z pewną trudnością wyłuskała pudełko z wystawy, zaś Mark bez zmużenia okiem zapłacił żadaną cenę. Potem pożegnali się i szybkim krokiem podbiegli do samochodu, bowiem deszcz padał coraz intensywniej. W środku Mark podał jej bombonierkę.

— To dla ciebie — wyszeptał.

— Och! Nie powinienesz był! Dziękuję ci, jest wspaniała!

Mark patrzył na jej zarumienioną twarz i rozjaśnione oczy.

— Już wiem! — wykrzyknął. — Przypominasz mi małą dziewczynkę, która pierwszy raz w życiu zobaczyła choinkę.

Carol uśmiechnęła się.

— Jestem zupełnie dorosłą osobą — przypomniała mu z przekorą w głosie.

— Nawet za sto lat się nie zmienisz — powiedział wolno. — Czy ty wiesz, jaka jesteś miła i ładna?

Spojrzała na niego zaskoczona, nie zdając sobie sprawy, że jej szeroko otwarte oczy nieodparcie nasuwają mu skojarzenie z kotkami.

— Miłą? — spytała z niedowierzaniem. — Nawet wtedy, kiedy patrzę na ciebie złym wzrokiem i każę ci jeść omlety, które wcale ci nie smakują? I kiedy co jakiś czas wyrzucam cię z domu na zawsze?

— Carol! — roześmiał się Mark na całe gardło i dziewczyna poczuła, jak jego ciepły głos przełamuje jej niechęć.

W sierocińcu panowała prawdziwie świąteczna atmosfera. Wszystkie dzieci pomagały, jak mogły, w dekorowaniu auli. Dyrektorka, pani Barker, nie wtrącała się do przebiegu prac, co stało w jaskrawej sprzeczności z jej wyglądem, trzymała się bowiem prosto, a marsowa mina nie schodziła z jej twarzy. Dopiero gdy przywitała się z Markiem, jak z długo nie widzianym synem, Carol przekonała się, jak bardzo była w błędzie.

— Mój kochany chłopcze — zaczęła dźwięcznym głosem. — Niechże cię uściskam i ucałuję.

— Czas najwyższy — odparł Mark. — Chciałbym, żebyś poznała Carol, zupełnie wyjątkową osobę. Carol, to jest pani Barker, która panuje tu niepodzielnie i do której wszystkie dzieci uciekają się w kłopotach.

Starsza kobieta skinęła głową.

— Większość tak, ale nie Mark — zwróciła się do Carol. — Czy on nadal jest taki małowówny?

— Wręcz przeciwnie, zwłaszcza kiedy przeszkadza mu się w pracy — odparła Carol i we trójkę wybuchnęli śmiechem.

Potem Mark poszedł pomóc dzieciom w dekorowaniu sali, a pani Barker wzięła Carol na przechadzkę po budynku, lśniącym od świeżej farby i perkalowych zasłon w wesołych barwach.

— Nie spodziewałam się tu takiej radości — przydała Carol.

— Wielu ludzi wciąż uważa, że w domach dla sierot nic się nie zmieniło od czasów Olivera Twista — powiedziała pani Barker. — Niemniej jednak brakuje tu rzeczy najważniejszej i choćbyśmy nie wiem jak się starali, nie będziemy jej w stanie zapewnić naszym wychowankom.

— Chodzi pani o miłość?

— Tak. Każde dziecko powinno wyrastać w świadomości, że jest kochane, ktoś bezustannie powinien nad nim czuwać. Robimy wszystko, co w naszej mocy, ale zawsze za jednym dzieckiem, które przychodzi się wyplakać, jest kolejka dziesięciorga następnych. I co, mamy załamać ręce? Zbyt wiele mamy pracy, zbyt mało czasu, żeby wszystkim pomóc.

— Mark opowiadał mi, że wszystkie dzieci wprost panią uwielbiają.

— Z pewnością przesadzał, chociaż staram się, jak mogę.

— Daje im pani najważniejsze: potrzebę kochania. Reszta przyjdzie później sama. Gdy dorosną, będą kochać i sami będą kochani.

Pani Barker spojrzała na Carol z uśmiechem.

— Jesteś naprawdę urocza. Mark ma dużo szczęścia, że znalazł sobie taką dziewczynę. Kiedy ślub?

— Zaszło małe nieporozumienie. Jestem przyjaciółką Marka, przynajmniej mam taką nadzieję, ale na tym koniec.

— Szkoda. Wydawało mi się, że Mark nareszcie odnalazł kogoś, z kim będzie mu dobrze.

Carol zaśmiała się nerwowo i powiedziała:

— Nikomu innemu nie przyznałabym się do tego, ale w pani jest coś z mojej matki, więc myślę, że mnie pani zrozumie. Są takie chwile, że panicznie boję się Marka.

— Niemożliwe!

— Zmienia się nie do poznania, kiedy pracuje. Zamyka się w swoim pokoju całymi dniami i zapomina o całym Bożym świecie, więc ja biorę byka za rogi i zanoszę mu przynajmniej coś do jedzenia. Wtedy jest na mnie

po prostu wściekły, ale ja nie daję za wygraną i zmuszam go do przełknięcia paru kęsów.

— A potem?

Carol wyglądała na zaskoczoną.

— Oczywiście też jestem zła i wychodzę.

— Dlaczego?

— Czasami mówi mi takie rzeczy, że go po prostu nienawidzę. Potem znów się zmienia i potrafi być taki miły, że gniewam się sama na siebie za to, co mu powiedziałam. Zupełnie się we wszystkim pogubiłam, czy pani rozumie coś z tego?

— Oczywiście. Nigdy przedtem nie spotkałaś kogoś podobnego, prawda?

— Tak. Moja siostra, Frances, ma w pewnym sensie artystyczne usposobienie, lecz ja wolę to traktować jako zwykłe popisywanie się. Ale Mark wpada w jakiś szał, pali nieprzerwanie, unika ludzi...

— A ty się o niego martwisz?

— Tak. I chyba nawet zaczynam go rozumieć. W jakiś dziwny sposób stał się częścią mojego życia. Kiedy wyjedzie, będzie mi go brakowało.

— W swoim liście wspominał, że wynajmuje pokój w twoim domu.

— Tak, i ma wyjechać, jak tylko skończy pisać sztukę. — Myśl o wyjeździe Marka stała się nagle nie do zniesienia. Wtem z tyłu dobiegł ją chłodny głos Marka:

— Zgadza się. Zostanę wyrzucony na bruk. Żyjemy z Carol jak pies z kotem.

— Mark — powiedziała niepewnie Carol. — Nie powinieneś tak mówić. Nigdy...

— Wiem, że zależy ci na Cherry Trees, ale nie sądziłem, że jesteś aż tak zaborcza.

Nim zdążyła odpowiedzieć, Mark zwrócił się do pani Barker.

— Przyszedłem, żeby zobaczyć, jak się miewa Carol, ale widzę, że niepotrzebnie się trudziłem — odwrócił się na pięcie i wrócił do dzieci.

— Szkoda, że nie usłyszał pierwszej części naszej rozmowy. Teraz zapewne sądzi, że chcesz, by jak najszybciej sobie pojechał.

— Teraz pani wie, co miałam na myśli — rzekła cicho Carol. — Mężczyznę o tak zmiennych nastrojach mogę tylko lubić. Jeżeli zaś chodzi o coś poważniejszego, potrzebuję raczej kogoś, na kim mogłabym polegać dłużej niż przez pięć minut. — Ze wszystkich sił starała się nie dać poznać po sobie, jak wielką przykrość sprawiły jej słowa. Marka. Jak mógł! Przecież podarował jej czekoladki, powoli zaczęli się nawet rozumieć.

— Mark Ransome ma talent i musi z niego korzystać — wyjaśniła pani Barker. — W przeciwnym razie życie nic by dlań nie znaczyło.

— Ale czy musi być taki... taki niezdolny i wyładowywać się na pierwszej napotkanej osobie?

— Moje dziecko — powiedziała czule pani Barker — u niektórych ludzi pragnienie tworzenia i odnoszenia sukcesów przejawia się właśnie w taki sposób. Dla innych nie zostaje wtedy nic. Za to kiedy Mark skończy pisać, zobaczysz, że będzie zupełnie inny: odprężony, czarujący i młody.

— Wiem — odparła Carol. — Ale na jak długo?

— Dopóki nie zaczniesz kolejnej sztuki.

— Trafiała pani w samo sedno. Cieszę się, że mogę zaliczać się do jego przyjaciół — w chwilach, kiedy ich akurat potrzebuje, ale nie mam ochoty na nic więcej.

— Wydaje mi się, że podjęłaś już decyzję.

— To prawda. Po pierwsze, sposób, w jaki mnie Mark traktuje, bynajmniej nie. sugeruje, że ma wobec mnie poważne zamiary, a po drugie, gdyby nawet — ja sama nie dopuszczę, żeby coś takiego się zdarzyło.

— Uważaj, bo możesz stracić szansę, która się więcej nie powtórzy.

— Chętnie podejmę takie ryzyko.

— Carol — powiedziała z uśmiechem pani Barker — myślę, że byłabyś dla niego doskonałą towarzyszką życia. Jesteś jak podmuch świeżego, wiosennego powietrza. Musisz do mnie kiedyś zaglądnąć, chciałabym być na bieżąco w waszych sprawach.

— Nie bardzo rozumiem.

— Wbrew temu, co mówiłaś, nie sądzę, że tak szybko się rozstaniecie.

— A teraz śmieje się pani ze mnie.

— Nie z ciebie, ale z tobą, a to dwie, całkiem odmienne rzeczy. A teraz chodźmy poszukać Marka.

Znalazły go w otoczeniu dzieci, którym po kolei nadmuchiwał baloniki, strojąc ucieszne miny. Co chwila wszystkie wybuchały śmiechem. Carol westchnęła z ulgą: na szczęście był w dobrym humorze. Pani Barker nalegała, by zostali na obiad, lecz Mark wymówił się.

— Bardzo dziękuję, ale nie możemy. Jesteśmy umówieni gdzie indziej. Ale jak zawsze, wproszę się na herbatkę.

— Oboje z Carol będziecie mile widziani na przyjęciu — odparła pani Barker. — Więc nie ważcie się spóźnić ani minuty.

Przez chwilę jechali w milczeniu. Nie odezwę się pierwsza, pomyślała Carol, za nic! Musi mnie przeprosić, zanim cokolwiek mu odpowiem.

— Zaniemówiłaś, czy co? — spytał gwałtownie. Pokręciła przecząco głową.

— Czego ode mnie chcesz, żebym powiedział „przepraszam”?

— Nie!

— Naprawdę?

— Tak!

— Dlaczego?

— Nie musisz się wysilać, bo tak naprawdę nic cię nie obchodzi, co czuję. Interesuje cię tylko koniec własnego nosa. Podśluchałeś fragment rozmowy i nawet nie zadałeś sobie trudu zapytać, o co chodzi, bo tak ci było wygodniej. Potem, cały wściekły, skarżysz się pani Barker, jak źle jesteś traktowany, i idziesz sobie...

— Posłuchaj! — przerwał jej. — Nie potrafisz przyjąć szczerych przeprosin?

— Nie musisz mnie przepraszać, mówiłam ci już — ze smutkiem w oczach spojrzała na strugi deszczu za oknem samochodu.

— Musisz być na mnie strasznie wściekła.

— Nawet nie. Jestem po prostu zmęczona i nie mogę się doczekać, kiedy wrócę do Cherry Trees. Przynajmniej Amy nigdy nie przekręca tego, co mówię.

— Zamówiłem już obiad — pieczone kurczę w potrawce. Najlepsze danie w restauracji, a do tego całą górę lodów malinowych.

Spojrzała na niego z niekłamanym zaskoczeniem.

— Ty naprawdę traktujesz mnie jak dziecko. A na dodatek wydaje ci się, że można mnie przekupić lodami!

## ROZDZIAŁ 8

Wbrew jej przewidywaniom, Mark nie obraził się. Wprost przeciwnie, na jego twarzy wykwitł zupełnie szczerzy uśmiech, którego przyczyny nie bardzo potrafiła zrozumieć.

— Może chociaż sporządzimy protokół rozbieżności? — zapytał, jakby nigdy nic. — Jesteśmy na miejscu, a ja wprost umieram z głodu. Nie uwierzysz, ale lody malinowe pożeram całymi tonami.

Restauracja, której wystrój utrzymany był w stylu modernistycznym, mieściła się z tyłu, za kawiarnią. Na każdym ze stolików stał flakon z tulipanami, przybrany liśćmi paproci. Z ukrytych głośników dochodziła muzyka, tworząc doskonałe tło dla ożywionych rozmów. Goście, których całkiem spora grupa nosiła niezbyt dyskretny makijaż, popijali płyn o nieokreślonym kolorze z wysokich, zielonych szklanek, palili papierosy lub jedli, sprawiając wrażenie, że interesuje ich jedynie rozmowa ze znajomymi. W rogu sali głośno bawiła się grupa mężczyzn w strojach z osiemnastego wieku. Carol z ulgą stwierdziła, że bynajmniej nie wyróżnia się swoim ubraniem, sądząc bowiem po szyldzie restauracji spodziewała się znaleźć tam bardzo eleganckie towarzystwo.

Mark starał się jak mógł, by Carol czuła się z nim dobrze. Wyśmienite jedzenie dopełniło reszty i dziewczyna całkowicie się rozchmurzyła. Przy okazji przekonała się, że to, co Mark mówił o lodach malinowych, było najszczęśliwszą prawdą. Obiecała sobie, że podczas najbliższej wyprawy do miasteczka zapyta panią Briggs, czy można u niej zamówić takie same.

Po skończonym posiłku Mark zapalił papierosa i wydychając dym, powiedział:

— Znajdujemy się w samym oku cyklonu. Większość gości tej restauracji ma coś wspólnego z teatrem. Za jakieś pięć minut przekonasz się, że to, co ci opowiadałem o nich, nie odbiega od rzeczywistości.

— Co?

— Poczekaj, to sama zobaczysz. Ach! Vivienne Saxon!

— Gdzie? Czy to ta, która potrafi zawstydić wiedźmy? Carol odwróciła się w stronę drzwi i ujrzała kobietę,

w której stroju dominowały dwa kolory? — popielaty i różowy. Popielate futro z lisów i różowy kapelusz. Popielate buty i różowe rękawiczki. Całość doskonale pasowała do granatowoczarnych włosów aktorki.

— Jak tylko nas zauważy, podejdzie do stolika — szepnął Mark. — Mimo że mnie nie znosi, bo kiedyś powiedziałem jej prosto w oczy, co o



niej sędzę. Będzie cię ignorować, a mnie wprost zaleje udawaną słodyczą. Zacznie, jak zwykle, od słów: „mój drogi”!

Carol uśmiechnęła się, bo po raz pierwszy Mark zachowywał się, jakby czegoś żałował. Aktorka tymczasem kroczyła przez salę dumnym krokiem. Wyraz jej twarzy zmienił się natychmiast, jak tylko poznała Marka.

— Do boju! — mruknął Mark pod nosem, wstając na powitanie.

Vivienne Saxon przemieszczała się w ich stronę jak okręt pod pełnymi żaglami. Carol doleciał mocny zapach drogich perfum, po czym starannie modulowany głos zapytał:

— Mój drogi, gdzie się podziewałeś?

Mark pozwolił się pocałować w policzek, po czym odparł:

— W pewnym tajemniczym miejscu, gdzie mogę pracować w spokoju. Chciałbym, żebyś poznała...

— Czy tylko tyle masz mi do powiedzenia? — pogroziła mu żartobliwie palcem.

— Przepraszam bardzo, oczywiście chciałem ci pogratulować sukcesu. W Fantazji byłaś cudowna.

Aktorka rozpromieniła się na te słowa i łaskawie przyjęła zaproszenie do stołu.

— Więc czytałeś moje recenzje! — uśmiechnęła się. — Jakże mi miło. Co do Lydii, słyszałam, że będą ją grali jeszcze w przyszłym roku. Gratuluję, chociaż wydaje mi się, że tytułową postać można zagrać bardziej subtelnie. Wiem, że potrafiłabym z niej zrobić prawdziwą kobietę.

— Co do tego nie mam najmniejszych wątpliwości — powiedział gładko Mark. — Całe szczęście, że nie ja decydowałem o obsadzie. Pozwól, proszę, to jest Carol. Carol...

— Bardzo mi miło — rzuciła chłodno Vivienne. Carol poczuła, że wzrok aktorki przenika ją do szpiku

kości. Po chwili Vivienne odwróciła się do Marka, nie zwracając najmniejszej uwagi na jego towarzyszkę.

— Pewnie wiesz, że Sir Humphrey jest ostatnio dla nas bardzo łaskawy? Włożył w inscenizację Fantazji dość dużo pieniędzy, dlatego gramy przy tak wspaniałych dekoracjach. Bardzo ucieszyliśmy się z tego, że będzie z nami pracował Mario. Jest cudowny! A jak potrafi operować barwami! W jednej scenie... och, przyszedł Sir Humphrey! Muszę lecieć!

Pocałowała Marka na pożegnanie i tak jak poprzednio, zupełnie zignorowała Carol.

— Widzisz? — zapytał Mark. — Potrafi liczyć. Sir Humphrey bardzo się rozczaruje, kiedy pewnego dnia zabraknie mu pieniędzy.

— Czy to znaczy, że na Fantazji nic nie zarobi?

— Mam nadzieję, że wręcz przeciwnie. Vivienne na deskach jest zupełnie kimś innym niż w życiu. Potrafi rzeczywiście wcielić się w rolę, które gra. Podziwiam ją jako aktorkę, lecz jako kobieta jest godna pogardy.

— Dlatego, że próbuje ci się przypodobać?

— Nie. Na komplementy jestem dość odporny. Ale znam przynajmniej trzy kobiety, porzucone dla niej przez swych mężów. Zbiera ich jak pszczoła miód, a kiedy wyssie z nich wszystko, zostawia. Ona przed Sir Humphreym zapewne stara się teraz udawać, że nic się nie stało, że wszystko jest w porządku.

— Nie oglądaj się teraz — ostrzegła Carol. — Przyszedł jeszcze ktoś.

Mark wyszczerzył zęby w uśmiechu.

— Zauważyłem ją wcześniej niż ty. Zobaczmy, czy ci się spodoba.

— Mark Ransome! — odezwał się słodki głos, prawie bez tchu. Nie widziałam cię całe wieki! Gdzie byłeś?

— W mysiej dziurze, Marto. Poznaj moją przyjaciółkę, pannę Carol Keen. Carol, to Marta Leroy, wschodząca gwiazda teatru.

Carol uśmiechnęła się do wielkich czarnych oczu. Marta miała bardzo szczupłą figurę, a długie włosy nosiła rozpuszczone na boki.

— Cześć — powitała ją Marta. — Czy myśmy się gdzieś spotkały?

— Nie — odparła Carol. — Nie znamy się. Ja nie mam nic wspólnego z teatrem.

— Więc nie wiesz, co to jest prawdziwe życie! Ja jem, śpię, żyję i oddycham sceną! To jedyne miejsce, gdzie można zaszyć się z dala od tego straszego świata.

— Carol woli wiśnie. Są lżej strawne — podsumował Mark lakonicznie.

— Jak ci się wiedzie, Marto?

— Dziękuję, nie narzekam. Muszę się jednak sporo napracować, żeby nie wypaść z obiegu, a to czasami bywa trudne.

— Napijesz się z nami kawy?

— Dziękuję ci, Mark, to miło z twojej strony. Carol, proszę cię, zamień się ze mną miejscem. Proszę!

Carol spojrzała na Marka, który wyjaśnił:

— Marta chce wejść w obiektyw Sama.

— Przepraszam, nie wiedziałam.

Carol poderwała się z miejsca i Marta usiadła na jej krześle. Jej ciemne, głębokie oczy jarzyły się teraz jakimś chorobliwym blaskiem. Nerwowo przebierała palcami.

— Proszę was, zróbcie coś. Nawet nas nie zauważył! — szepnęła napiętym głosem.

Carol spojrzała we wskazanym kierunku i zobaczyła wysokiego, szczupłego mężczyznę, który mówił coś do Vivienne Saxon. Obok niej siedział gruby, łysiejący jegomość z zakłopotaną miną.

— To jest Sam Stone — wyjaśnił Mark. — Pracuje dla jednej z największych gazet w kraju. Większość ludzi tutaj zrobi wszystko, żeby ich zdjęcie zamieszczono w gazecie, może z wyjątkiem Sir Humphreya. Samowi wybaczyliby nawet morderstwo.

— Zróbcie coś! — powtórzyła Marta. — Z wami na zdjęciu wysłabym wspaniale.

Nie dowierając własnym oczom Carol ujrzała, jak Marta upuszcza na podłogę filiżankę kawy, po czym odskakuje z głośnym okrzykiem zaskoczenia. Sam podniósł głowę i zaczął się zbliżać w stronę ich stolika.

Głos Marty stał się chrapliwy.

— Carol, proszę cię, idź stąd na chwilę!

— Nie ruszaj się, Carol — powiedział Mark na poły rozgniewany, na poły rozbawiony.

Sam Stone podniósł aparat, a w tym momencie Marta rzuciła się do przodu i objęła Marka, uśmiechając się przesadnie. Trzasnął flesz, potem następny, Sam fotografował Martę stojącą na palcach, jakby lada chwila oczekiwała pocałunku.

— Och Mark! — powiedziała, gdy Sam podszedł do nich. — To bardzo miło z twojej strony, ale nic mi się nie stało.

— Cześć — przywitał się Sam. — Fajnie, że wpadłeś. Tym razem w otoczeniu dam. Długo zostajesz?

— Niedługo.

— Wpadniesz do teatru popatrzeć na próbę?

— Niewykluczone.

— Jak zwykle jesteś rozmowny. Marto, co mam o tobie napisać?

— Nic, poza tym, że jesteśmy z Markiem parą starych przyjaciół — powiedziała Marta i zachichotała.

— Od kiedy?

— Od zawsze.

Sam zwrócił się do Marka.

— Mam to tak zostawić?

— A jak zaprzeczę, co to zmieni?

— Absolutnie nic. Akapit będzie tylko trochę dłuższy.

— Niech więc zostanie.

- Czy mógłbyś mnie przedstawić drugiej z dam?
- Nie. Ona nie należy do waszego zwariowanego świata.
- Czyli nadal masz o nas takie samo zdanie.
- Tak.
- Mark Ransome — cynik z własną porcją cykuty. Jeżeli tak nas nie cierpisz, dlaczego piszesz sztuki?
- A jak sądzisz, dlaczego oddycham?
- Żeby żyć.
- Trafiłeś za pierwszym razem.
- Nie drocz się, przedstaw mi tę młodą damę. Marta uśmiechnęła się radośnie i powiedziała nie wiadomo do kogo:
- Producent powiedział mi, że jak zdecydują się kiedyś wystawić Kleopatę w nowej obsadzie, da mi główną rolę. Byłam kompletnie zaskoczona, bo poszłam na przesłuchanie ot, tak sobie...
- Sam pstryknął palcami.
- Mam! Tajemnicza dziewczyna na obiedzie z Markiem Ransome.
- Nie zapomnij o mnie — dodała pospiesznie Marta.
- Pewnie. Napiszę, że rozrzuciałaś dookoła filiżanki z kawą, korzystając z tego, że nasz cynik jest dziś trochę bardziej przystępny niż zazwyczaj. Co ci się stało, Mark? Słyszałem, że byłeś miły dla Vivienne Saxon. Nawet zaproponowałeś jej główną rolę w swojej nowej sztuce.
- Czyżby?
- Oczywiście. Cytuję: „Moje ostatnie recenzje wywarły takie wrażenie na Marku Ransome, że zaproponował mi główną rolę kobiecą w sztuce, którą właśnie kończy. Czyż nie jest kochany?” Koniec cytatu.
- To coś nowego — Mark poczerwieniał z gniewu. — Dobrze, powiem ci, co zamierzam zrobić. Moja sztuka jest już na ukończeniu, lecz tym razem dopilnuję, żeby uzgodniono ze mną jej obsadę.
- Czyli w roli głównej nie wystąpi Vivienne Saxon?
- Nie!
- Ani Marta Leroy?
- Nie!
- Ani...? — Sam spojrzał znacząco na Carol.
- Nie! — krzyknął Mark.
- Chyba żartujesz, Mark.
- Główną rolę w mojej sztuce zagra Julia Mayne.
- Czy ja ją znam? — zmarszczył brwi Sam.

— Nie mam pojęcia — powiedział z zadowoleniem Mark. — Ale w najbliższej przyszłości będziesz musiał nadrobić zaległości. A teraz przepraszam, ale...

— Jak ma na imię ta młoda dama? — nie dawał za wygraną Sam.

— Pozwól sobie przedstawić księżniczkę Karolinę De Keen — powiedział Mark. — Ze względu na jej rodzinę nie mogę ci jednak wyjawić nazwy kraju, z którego pochodzi.

— W porządku. Ale z tego wnoszę, że jesteście bardzo dobrymi przyjaciółmi.

— Możesz wierzyć lub nie, ale naprawdę jesteśmy dobrymi przyjaciółmi. W najprawdziwszym sensie tego słowa. A teraz bardzo mi przykro, ale spieszymy się.

Skinął głową na pożegnanie, ujął Carol mocno za rękę i odprowadzany spojrzeciami całej sali, wyprowadził ją na zewnątrz, wprost pod strugi deszczu. Trzymając się za ręce, pobiegli do samochodu. Carol nieomal straciła oddech ze śmiechu.

— Księżniczka! Mark, przecież jestem w dżinsach i w swetrze, nic dziwnego, że nie dał się nabrać!

— Ale przynajmniej przestał zadawać głupie pytania — cieszył się Mark. — I ty przestałaś się na mnie złościć.

— Przestałam. Była świetna zabawa.

— I co? Jak pierwsze wrażenia?

— Niezbyt budujące — przyznała. — Ale chyba nie wszyscy tak się zachowują.

— Spotkałaś reprezentatywne próbki.

— Sam kiedyś mówiłeś, że Julia jest zupełnie inna. Mark, czy wtedy... czy naprawdę masz zamiar dać Julii tę rolę?

— Już zdecydowałem.

Dlatego, że byłeś wtedy wściekły?

— Nie — odpowiedział spokojnie. — Dlatego, że od chwili, kiedy ją ujrzałem, wiem, że jest do niej stworzona.

— Aha — Carol poczuła się nagle opuszczona, nieważna. Szybko się jednak rozchmurzyła, bo Mark był dla niej taki miły, pogwizdując nawet w czasie jazdy.

— Teraz jedziemy na próbę — oznajmił Mark. — Powinna cię zainteresować.

— Czy musimy?

— Chciałaś przecież poznać więcej aktorów.

— Niezupełnie. Nie czuję się dobrze w ich towarzystwie. Wiesz, gdzie bym teraz chciała być?

— Powiedz.

— W sierocińcu. Pomagać na przyjęciu. Chciałabym porozmawiać, zaprzyjaźnić się z dziećmi, patrzeć, jak rozweselasz dzieci, które śmieją się nie dlatego, że coś za to dostaną. Jestem okropna, prawda?

— Zważywszy, że powiedziałaś dokładnie to, co miałem nadzieję, że powiesz, nie mogę się z tobą zgodzić. "Więc w drogę!"

Zawrócili na najbliższym skrzyżowaniu i pojechali prosto do pani Barker na jedno z najweselszych przyjęć, na jakich Carol w życiu nie gościła.

RS

## ROZDZIAŁ 9

W trzy dni po przyjęciu w sierocińcu nad czerwonym dachem Cherry Trees zawisła atmosfera nerwowego wyczekiwania. Carol patrzyła przez okno na zawieruchę, wściekle atakującą drzewa. Powtarzała sobie, że może jeszcze zakwitną, że tylko zbyt wcześnie otwarte płatki ścieliły się teraz jak białoróżowe konfetti na trawie. Ale zbyt długo zajmowała się drzewami, by dać się naprawdę oszukać. Prawda była taka, że po raz drugi z rzędu zapowiadał się nieurodzaj na wiśnie — i turystów, jeśliby wierzyć przepowiedniom starego Jeda, który czuł w kościach nadchodzące wilgotne lato. Jed rzadko się mylił.

Carol wzięła na kolana Złotka wykrzywiwszy się przy tym z bólu, gdy ostre pazury drugiego z kotków wbiły jej się w nogę. Deszczyk nie zamierzał pozwolić o sobie zapomnieć i właśnie wdrapywał się jej po spodniach, by dołączyć do brata.

— Nie martwcie się — powiedziała kotom. — Bywało już gorzej, a my dalej jesteśmy tutaj, prawda?

Deszczyk mrugnął oczyma z zadumą i zajął się gryzieniem ucha Złotka.

Carol zacisnęła wargi. Nie tylko pogoda nie dopisywała. Mark, który nie skończył swej sztuki, jak powiedział wcześniej reporterowi, pracował teraz zawzięcie, ze zwykłymi tego skutkami. Dał tylko Julii część maszynopisu do przeczytania, lecz ani słowem nie wspomniał o roli.

Julia czytała otrzymany fragment w kółko, co wieczór, po powrocie z pracy w mleczarni i, co najdziwniejsze, nic nie mówiła na jej temat. Carol zaniepokoiła się i pewnego dnia zapytała:

— Nie podoba ci się... ta sztuka?

— Sztuka? O mój Boże! — roześmiała się nerwowo.

— Co to znaczy — tak czy nie?

— To znaczy, że jest świetna. Mark Ransome jest prawdziwym geniuszem, a jeżeli reszta jest taka sama, to...

— Co za ulga. Bałam się, że ci się nie podoba.

— Między nami mówiąc, próbuję się właśnie opanować, by nie pójść do niego, nie rzucić mu się do stóp i nie zacząć błagać go o rolę.

— Nie sądzę, żebyś musiała — odparła Carol. — Wystarczy, jak mu powiesz, że sztuka ci się podoba. I tyle.

Julia spojrzała na nią z zaciekawieniem.

— Myślisz, że dałby mi szansę?

— Nie jestem pewna, bo z nim nigdy nic nie wiadomo, ale sądzę, że tak. Jaki ma tytuł?

- Nie wiem, tu jest tylko napisane „Akt pierwszy”. Nie czytałaś jej?
- Wolę poczekać, aż skończy. — Carol potrząsnęła przecząco głową.
- Dziwię ci się. Mnie by zjadła ciekawość.

Carol uśmiechnęła się i odwróciła, by pójść do kuchni, ale w tym momencie jej wzrok padł na zegar.

— Uważaj, bo się spóźnisz — powiedziała wesoło. — Nie żebym cię wypychała do pracy, ale wczoraj zrobiłaś nam cały wykład na temat punktualności.

— Ojej! — krzyknęła Julia i narzuciwszy na siebie płaszcz, wybiegła z domu.

Carol rzeczywiście nie chciała czytać sztuki. Nie miała zamiaru dać się wciągnąć w całą sprawę z obawy, że nie usłucha rady, którą wcześniej dała Julii, i będzie błagać Marka o rolę — dla Frances.

I tak właśnie miały się sprawy. Mark pracował, co oznaczało, że pozostali domownicy nie mieli łatwego życia. Julia schodziła mu z drogi, nie chcąc się zdradzić z nadzieją otrzymania roli. Tylko Amy zachowywała się spokojnie, czyniąc przygotowania na przyjazd Frances. Carol nie wiedziała, co z sobą zrobić, czuła się samotna i zagubiona. Zastanawiała się, jak zareaguje jej siostra, gdy się dowie, kto wynajmuje mieszkanie na górze. Zrobi mi awanturę, powie, że umyślnie pozbawiłam ją życiowej szansy — i pewnie będzie miała rację. A jeżeli Mark rzeczywiście da Julii rolę — atmosfera w domu stanie się nie do wytrzymania.

Spojrzała na zegar i serce nieomal przestało jej bić. Jeśli pociąg przyjechał punktualnie, a Frances zdażyła na pierwszy autobus ze stacji, będzie w domu za niecałe dwadzieścia minut...

Oczy Frances otwały się szeroko ze zdumienia.

— A ty nawet słowem mi nie wspomniałaś w liście! — wyrzucała siostrze.

— Nie miałam zielonego pojęcia, kim jest, zanim mi Amy nie powiedziała. Poza tym jeżeli o mnie chodzi, jest trudnym do zniesienia mężczyzną, którego pieniądze pomagają mi przetrwać ciężkie czasy.

— Ale potem! Dlaczego nic nie napisałaś?

— Bo przyjechałabyś tu zaraz ze swoim Maxem, czy jak mu tam, i zawracałabyś mu głowę swoimi kłopotami. Powiedział mi wyraźnie, że nie chce żadnych innych gości i ani słowa o teatrze w jego obecności, na co z ochotą przystałam.

— Ale wobec Julii jest w porządku! Czy ona też nie jest gościem?



— Przypomnij sobie, kto ją tu przysłał. Myślałam, że sobie pojedzie, a ja bardzo chciałam, żeby Mark został. Nie byłam zbyt zadowolona z twojego pomysłu.

— Chyba nie chcesz go zachować dla siebie?

— Skąd! Zależy mi tylko na Cherry Trees.

— Dobrze. Gdyby było inaczej, znaczy, gdybyś się w nim zakochała, czy coś w tym rodzaju, zasługiwałabyś na współczucie.

Carol poczerwieniała gwałtownie.

— Może mi powiesz, z jakiego powodu?

— Bo Mark Ransome. jest samowystarczalny. Ma reputację niezbyt podatnego na kobiece wdzięki, a ponadto każdą z nas, która odważy się uśmiechnąć do niego, natychmiast ogarnia takim spojrzeniem, że nic, tylko się pod ziemię zapaść. Wydaje mu się, że inni żyją przez sen. Byłabyś jak baranek prowadzony na rzeź.

Carol ledwie powstrzymała się od uśmiechu, przypominając sobie chwilę, gdy stała nad nim i zmusiła go do zjedzenia omletu, którego nie chciał. Frances, na szczęście, nic nie zauważyła.

— Masz ci los! Jestem aktorką, szukam przyzwoitej roli, a moja siostra wynajmuje pokój komuś, kto może mi w tym pomóc, i nie puszcza pary z ust.

— Powtarzam ci, że na twoim miejscu zostawiłabym go w spokoju. Nie znosi, by mu przeszkadzać w pracy.

— Zobaczymy. Mmm, jak miło znów być w domu. Kochana, pomóż mi się rozpakować. Wiesz, że zerwałam z Maxem?

— Można się było domyślić.

— Obiecał mi, że dzięki tej roli stanę się sławna. A gdy znaleźliśmy się na miejscu, okazało się, że dostał ją ktoś inny. Myślałam, że zwariuję! Ktoś mnie podkupił.

— A Max?

— Max, jak zwykle, był z siebie zadowolony. Powiedział mi, że mogę grać w zastępstwie. Pieniądze owszem, całkiem niezłe, ale ja miałam się zgodzić na zastępowanie tej pokraki? Powiedziałam Maxowi, żeby się wypchał i przyjechał do ciebie.

— Odrzuciłaś ofertę takiej pracy? Mogłaś trochę poczekać.

— A moja zawodowa duma?

— O mnie nie pomyślałaś? Musiałam się zapożyczyć, żebyś mogła tu w ogóle przyjechać. Jak mogłaś! Julia nigdy...

— Jest kochana, prawda? Przepadam- za nią. Ciekawe, jak sobie radzi z wcielonym geniuszem.

— Nie widują się zbyt często. Jak ci już wspominałam, Mark intensywnie pracuje.

— Chodźmy, pomóż mi się rozpakować. Carol popatrzyła na zegarek.

— Przykro mi, ale nie mam czasu. Muszę przygotować lunch.

— Amy będzie miała dosyć czasu, jak wróci z miasteczka. Musisz mi opowiedzieć wszystko o Marku Ransome i...

— Przepraszam! — powiedziała wesoło Carol. — Poza tym ty też z pewnością jesteś głodna.

Frances poszła w ślad za siostrą do rozgrzanej ogniem z kominka i pachnącej hiacyntami kuchni.

— Jak miło być w domu — powtórzyła Frances. — Och! Podniosła do góry kotki.

— Carol, tak się cieszę! Są przesłodkie. Jak mają na imię?

— Złotek i Deszczyk.

— Kochana! — oczy Frances nagle, zaszklily się łzami i pocałowała siostrę. — Spójrz na mnie — oto ja, doświadczona aktorka wylewam łzy, bo moja malutka siostra sprawiła sobie dwa kotki.

Padły sobie w objęcia i w mgnieniu oka wróciły dawne dni, gdy doskonale rozumiały się bez słów. Bardzo za sobą tęskniły, choć żadna nie powiedziałaaby tego głośno.

— Podarował ci je Shane, prawda?

— W pewnym sensie wszystko załatwił Mark. Przekonał mnie, że powinnam je zatrzymać na pamiątkę. Sam wybrał im imiona.

— Ładnie z jego strony — skomentowała Frances, po czym zapytała niepewnie: — A co słyhać u Shane'a?

— Wszystko po staremu. Miałam wrażenie, że doskonale rozumieją się z Markiem.

— Czy pytał o mnie?

Carol pokręciła przecząco głową.

— Trudno. Nie przepada za mną.

— Frances! Jak możesz tak mówić! Przecież oświadczył ci się kiedyś.

— Kochać i lubić to dwie zupełnie różne rzeczy. Shane myśli, że ja wyjeżdżam do księżycyca.

— A nie wyjesz?

— Możliwe, ale w naszych czasach nie ma nic niemożliwego. Zobaczymy, co wtedy powie.

— Na co?

— Pamiętasz, jak Amy mówiła o mnie to samo? Ciekawe, jak się zachowa.

— Frances! Amy nigdy tak nie mówiła.

— Mówiła. Wtedy, kiedy była na mnie zła. A pamiętasz, jak mama opowiadała nam o spadających gwiazdach? Spełniają się wtedy wszystkie życzenia. Pamiętasz?

Wzięły się za ręce i uśmiechnęły przez łzy na wspomnienie tamtych szczęśliwych lat. W takiej pozycji zastał je Mark.

— Czy mogę przerwać to wzruszające powitanie? — odezwał się od drzwi.

Odwróciły się zaskoczone.

— Carol — kontynuował Mark. — Obiecałaś mi, że zajmiesz się papierem do pisania. Czy mogłabyś mi powiedzieć, gdzie jest?

— Przepraszam, Mark. Jest w korytarzu.

— A jednak nie zapomniałaś! Dziękuję. Jestem ci winien przeprosiny.

— Sądząc po pana tonie, rzeczywiście wydaje mi się, że powinien pan ją przeprosić — powiedziała Frances. — Nie jest ani pańską, ani niczyją służącą. Proszę o tym nie zapominać.

Mark spojrział prosto w oczy Frances.

— Jeżeli chciała pani pomóc siostrze, powinna pani była przyjechać wcześniej — wycedził.

— Jak będziecie się kłócić, pójdę sobie stąd i więcej nie wrócę. Może nie jestem zbyt przekonująca w tej roli, ale nie zniosę żadnych sprzeczek — powiedziała dobitnie, spoglądając na Marka i na siostrę.

— Przepraszam cię, Mark, że zapomniałam o papierze. A ty, Frances, musisz się przyzwyczaić do nieco nietypowego sposobu bycia mojego gościa — w tej chwili Carol, choć była z nich najmniejsza i najmłodsza, w zupełności panowała nad sytuacją. Jej oczy wciąż jarzyły się jak dwa brylanty, bo myślała o rodzicach, kiedy wszedł Mark, lecz twarz miała bladą, bowiem pomoc Frances przyszła za późno. O dwa lata za późno. — A teraz pójdę po papier — oznajmiła i zostawiła tamtych dwoje sam na sam w kuchni.

Gdy wróciła, ujrzała, że Frances podaje Markowi filiżankę kawy, którą ten z ociąganiem przyjmuje. Zaraz potem wróciła Amy, która doświadczoneym okiem oceniwszy sytuację, zaczęła rozładowywać napięcie.

— Patrzcie. Codziennie staję się coraz młodsza, bo otacza mnie sama młodzież. Widziałaś kotki, Frances?

Co za wyczucie, pomyślała Carol. Kotki!

Za moment Frances dziękowała już Markowi za to, że pomógł jej siostrze w trudnych chwilach, a Mark uśmiechał się, bo rzeczywiście

pomysł był wyśmienity, a mimo bezustannie powtarzanych zapewnień, że nie lubi rozwiązywać cudzych kłopotów, zajęcie to dość mu odpowiadało.

— Z wielką przyjemnością napiłabym się kawy — powiedziała Carol i dodała z uśmiechem: — Brakuje jeszcze tylko Julii i rodzina będzie w komplecie.

Markowi udzielił się jej pogodny nastrój, bo nie miał nic przeciwko dołączeniu do rodziny. Promień słońca wkradł się nagle przez okno do kuchni i padł na bukiet hiacyntów, rozjaśniając całe pomieszczenie. Cherry Trees nagle wydał się oazą spokoju i ciepła...

— Widzicie? — przerwała milczenie Amy. — Mówiłam, że się wypogodzi.

RS

## ROZDZIAŁ 10

Mijały pełne wyczekiwania tygodnie. Sztuka Marka była już na ukończeniu, a on sam, jak to miał w zwyczaju, nie pchał się między ludzi. Julia pracowała w mleczarni, mając nadal nadzieję, że dostanie wreszcie upragnioną rolę, lecz nikomu nie wspominała o tym ani słowem. Frances odnowiła starą przyjaźń z Shane'em i choć na zewnątrz wszystko wyglądało bardzo dobrze, Carol przez cały czas zdawała sobie sprawę z rzeczywistego stanu rzeczy: z bezustannej irytacji Marka, który znajdował się w najważniejszym momencie swej pracy, i z niepokoju, którego żadna z nich nie ośmieliła się wyrazić słowami.

Sad miał się bardzo źle. Prawie wszystkie kwiaty opadły i Carol z obawą patrzyła w przyszłość. Gdy Mark wyjedzie, sama nie da rady utrzymać Cherry Trees, bo nie będzie miała z czego. Chcąc nie chcąc, wraz z Amy będą musiały wszystko sprzedać i wyprowadzić się.

Nie mogę się poddać, nie mogę zawieść Amy, myślała z rozpaczą Carol. Co robić, co robić?! A może Mark zostanie? Może nie wyjedzie, sam przecież mówił, jak dobrze się tu czuje. O Boże, spraw, żeby nie wyjechał! Ależ jestem głupia! — skarciła się natychmiast. Właściwie nie wiem, dlaczego tak go lubię. Jest tak samo uparty, jak ta okropna pogoda. Szła po wilgotnej trawie i patrzyła ze smutkiem na zazielenione gałęzie drzew, z których w tym roku nie będzie żadnego pożytku. Nawet ptaki niewiele znajdują.

Odwróciła się w stronę domu i zauważyła idącego w jej kierunku Shane'a. Puściła się biegiem, zadowolona, że nareszcie będzie mogła się komuś wyżalić, jednak po wyrazie jego twarzy zorientowała się, że chyba będzie odwrotnie.

— Shane! Co tu robisz? Myślałam, że wybierasz się gdzieś z Frances.

— Wybierałem się — powiedział cicho. — Ale wolałem im nie przeszkadzać.

— Dlaczego, czy znów się pokłóciliście?

— Nie. Ransome skończył sztukę i wszyscy w domu czytają ją teraz na głosy, nawet Amy. A ja wyczułem, że zbliża się burza, i dyskretnie wyszedłem.

— Jaka burza? Nic nie rozumiem.

— Julia ma główną rolę, a ty przecież znasz Frances lepiej niż ja. Czy musisz ci więcej mówić?

— Och!

— Nie potrafię tego zrozumieć. O wszystko się kłóca, a atmosfera w kuchni jest tak gęsta, że siekierę można powiesić. A niech to!

— Myślisz, że zanosi się na coś poważniejszego?

— Sądząc po zachowaniu Frances, raczej tak. A przy okazji, stary Jed mówił, że rzeka bardzo się podnosi. Będziemy musieli uważać.

— Nie sędzę, żeby mogło być gorzej, niż teraz — zwiesiła głowę Carol.

— Przynajmniej jeżeli o mnie chodzi.

— Nie wiecie ci się ostatnio... Uśmiechnęła się smutno.

— Czy zdarzyło ci się kiedyś mieszkać na czynnym wulkanie? Mnie tak. Przez ostatnich kilka tygodni. A teraz wydaje mi się, że nadchodzi wybuch. Lepiej wróć do domu.

— Po co? Zostaw ich w spokoju. Pójdziemy razem na spacer. Sam też nie jestem w najlepszym nastroju. Frances zapomina o wszystkim, kiedy rozmowa schodzi na teatr, a teraz walczy jak lwica o swoją dalszą karierę.

— Aż tak źle? To dlaczego jej nie powiesz, żeby sobie poszła do diabła? Myślę, że zachowuje się tak, bo wie, że na nią czekasz.

— Nie ośmieliłbym się — powiedział Shane z uśmiechem.

— Więc chodź mi pomóc.

— Wybierasz się tam, gdzie diabeł nie odważyłby się wstąpić?

— Nie zamierzam dopuścić, by mój dom przerodził się w pole bitwy. Mówi się, że każdy ma swój nastrój, nawet jeżeli jego lokatorzy się wyprowadzą. Cherry Trees jest starym domem, pełnym spokoju i godności. Chcę zostawić po sobie miłe wspomnienia...

— Hej! — zawołał. — Chyba nie zamierzasz się poddać.

— Pewnie będę musiała.

— Nonsens! Przetrwałaś trudniejsze chwile. Wszyscy w miasteczku są z ciebie dumni. Widzieli, jak walczysz i jak doskonale sobie radzisz. Dlaczego teraz nagle miałoby się coś zmienić? Nigdy do tego nie dopuszczę.

— Dziękuję ci, Shane. Ulżyło mi — uśmiechnęła się.

— Powiedziałaś, że potrzebujesz pomocy, więc prowadź, wodzu!

Wróciwszy do domu, zastali wszystkich w kuchni, dokładnie jak to opisał Shane.

— Wydaje ci się, że zjadłaś wszystkie rozumy, tak?! — czerwony ze wzburzenia Mark krzyczał na Frances. — Dobrze, daj nam próbkę swojego geniuszu. Zacznij jeszcze raz od początku i czytaj, jakbyś rzeczywiście coś przeżywała.

Wrócili na pierwszą stronę. Amy bawiła się doskonale zaistniałą sytuacją, wprost chłonęła każde słowo Marka, wymierzone we Frances. I

trudno było ją za to winić, bowiem fochy dziewczyny wiele razy dopiekły jej do żywego. Carol nie zapomniała, że Frances zwykła była powtarzać, jaką to jest wielką aktorką i jak inni ludzie niewiele przy niej znaczą, nie doświadczwszy prawdziwego życia, które, według niej, rozgrywa się tylko na scenie. Tak, Shane miał rację. Atmosfera była gęsta.

— W porządku! — warknęła Frances. — Ale nie oczekujesz chyba, że będę w stanie dać z siebie wszystko po tej awanturze.

Mark bezradnie załamał ręce.

— Dobrej aktorki nic i nigdy nie jest w stanie wyprowadzić z równowagi, pamiętasz? Przedstawienie musi trwać. Nie zwracaj głowy i zaczynaj!

— Ojej! — roześmiała się Julia. — Skąd ta cała powaga? Mówiłeś przecież, że chcesz tylko, żebyśmy przeczytały tekst.

— A co innego robimy? — zwrócił się do niej. — Nie żądam od was cudów, ale dajcie moim postaciom trochę życia. To ludzie z krwi i kości, a nie lalki!

— To nie dla mnie! — krzyknęła Frances i rzuciła maszynopis na stół. — Potrzebuję więcej przestrzeni!

— Niech mnie... — zaczął Mark i nagle urwał widząc wpatrzony w siebie oczy Carol.

— Natychmiast przestańcie — powiedziała cichym, lecz dobitnym głosem. — Nie zniosę tego ani chwili dłużej.

— Co to ma znaczyć? — spytał lodowatym tonem Mark.

— To, co słyszeliście. Możecie wszystko odłożyć na bok.

— Dlaczego, jeśli wolno spytać?

— Wolno. Jesteście w mojej kuchni i zachowujecie się, jak stado dzikich zwierząt. Wrzeszczycie, popisujecie się jedno przed drugim, skaczecie sobie do oczu. Proszę bardzo, bądźcie sobie artystami, ale nie tutaj. Jak chcecie się dalej wygłupiać, zapraszam na górę!

— Carol! — Frances wciąż nie dowierzała. — Nie rozumiesz...

— Nie. Przypominacie mi stado sępów nad padliną, a nie powiem, żebym szczególnie przepadała za takim widokiem.

Amy zachichotała.

— Padlina? Czy tak oceniasz ostatnie dzieło Marka?

— W tej chwili nie interesuje mnie sztuka, jeżeli nadal będziecie się zachowywać tak skandalicznie,

— Wzięłaś to sobie za bardzo do serca, moja droga. Owszem, wypowiedaliśmy pewne słowa we wzburzeniu, ale uwierz mi, to naprawdę

świetna zabawa. Nie chcesz poczekać, aż dojdziemy do mnie? Dość dobrze wczułam się w rolę.

— Nie, Amy, nie chcę.

— Jesteś bezwzględna i despotyczna, Carol — powiedział Mark. Zupełnie nie rozumiem, dlaczego.

— Nie ma znaczenia, dlaczego — wtrącił się Shane. — Carol życzy sobie, żeby wszyscy wyszli z kuchni, i na tym koniec.

— Domyślam się, że pan tu z nią zostanie — wycedził Mark.

— Oczywiście. Podobnie jak ja, żadna siła nie zmusi mnie do pójścia z wami na górę — uśmiechnął się Shane.

— Jak możesz! — wykrzyknęła Frances. — Nie rozumiesz, że to wielki zaszczyt brać udział w pierwszym czytaniu sztuki Marka Ransome?

— Naprawdę? Sądząc z tego, czego przed chwilą byłem świadkiem, doskonale obejdę się bez niego. Poza tym łatwiej mi się porozumieć z prawdziwymi ludźmi niż z tymi, co przez całe życie udają, że są kimś innym.

— Jesteś niesprawiedliwy! Wielu ludziom niesiemy radość, pokazujemy dobro, pomagamy zapomnieć o trudach codziennego życia.

— Możliwe. A my, weterynarze, tylko leczymy chore zwierzęta. Rozumiem cię, Frances, ale nie zgadzam się z tobą. A teraz, czy moglibyście zostawić nas z Carol samych?

Carol poczuła, że się czerwieni pod zaskoczonymi spojrzeniami Marka i Frances. Shane wypowiedział ostatnie słowa w taki sposób, że zależnie od intencji słuchającego, mogły być rozumiane zupełnie neutralnie lub skrywać głębsze znaczenie.

Mark przerwał ciszę.

— Chodźmy więc do mnie. Za pozwoleniem, panno Keen.

— Bardzo proszę, panie Ransome.

Gdy wszyscy wyszli, Carol wybuchła nerwowym śmiechem.

— Pierwsza runda dla nas, Shane.

— Ale co nam z tego przyszło? — zapytał cicho.

— Chwila spokoju, z której bardzo się cieszę. Wyobrażam sobie, co Frances sobie teraz pomyśli. Świetnie to rozegrałeś!

— Zapominasz o Marku. Przez moment spojrzał na mnie takim wzrokiem, jakby chciał mnie zabić.

— Dlatego, że stanąłeś po mojej stronie?

— Nie. Dlatego, że chciałem zostać z tobą sam na sam.

— Powiedziałam mu kiedyś, że jesteś najlepszym człowiekiem pod słońcem, wiesz? Nadal tak myślę.



— Wielkie dzięki, panienko. A gdzie umieściłaś na swojej liście Marka?

— Sama nie wiem. Czasem bardzo go lubię, a czasem wprost nie znoszę. Niekiedy wydaje mi się, że go rozumiem, a potem okazuje się, że wcale go nie znam. Można się w tym wszystkim pogubić.

— To samo czuję w stosunku do Frances.

— Przecież ty ją kochasz!

— Co to zmienia?

Zmarszczyła brwi udając, że nie dostrzegła błysku w jego oczach.

— Nieprawda — powiedziała wreszcie. — Chciałam powiedzieć, że odkąd pojawił się w moim życiu, nie bardzo potrafię się odnaleźć. Poza tym Frances powiedziała mi, że Mark nie znosi kobiet i że sam sobie najzupełniej wystarcza.

— Nie można tego powiedzieć o żadnym mężczyźnie. Gdy przyjdzie na niego czas, jest zupełnie bezbronny.

— Niech Bóg ma w swojej opiece jego wybrankę. Zostanie wieczną służącą, będzie musiała przystosować się do zmiennych nastrojów pana i władcy, aż w końcu nie będzie wiedziała, jak się nazywa.

— Co czasami bywa podniecające.

— Albo bardzo męczące. Napijmy się herbaty i chodźmy na spacer. Kiedy zejdą na kolację i zobaczą, że nas nie ma, Frances obudzi się wreszcie i poczuje, jak jej ciebie brak.

Gdy Carol zrobiła herbatę i nakarmiła kotki, Shane zaproponował:

— Chodź ze mną, muszę powiedzieć stajennemu, co ma dać na kolację moim pacjentom. Potem pojedziemy do kina. Co ty na to?

— Wspaniale! Zdamy?

— Powinniśmy, jak się pospieszymy.

Deszcze zmieniły ścieżkę łączącą Cherry Trees z majątkiem Shane'a w jedno wielkie grzęzawisko, więc Carol postanowiła zaczekać.

— Nie chcę iść do kina upaprana jak nieboskie stworzenie — rzekła. — Te buty na obcasie nie były najlepszym pomysłem.

— Cieszę się, że je włożyłaś. Wyglądasz w nich cudownie — zapewnił ją Shane.

Patrzyła, jak szedł w kierunku swego domu. Powiedział, że wyglądam cudownie! A Mark, dla którego specjalnie się stroiłam, nic nie zauważył. Ani sukienek, ani butów na wysokim obcasie, ani fryzury! Ten lakier od Julii jest naprawdę bardzo dobry.

Stukot końskich kopyt za jej plecami wyrwał ją z rozmyślań i odwróciła się. Peter Marriatt ściągnął cugle swemu wierzchowcowi.

— Czekasz na mnie? — zapytał z uśmiechem.

- Na Shane'a — odparła. — A co?
- Myślałem, że gdybyśmy spróbowali jeszcze raz... podjęłabyś inną decyzję.
- Co do Cherry Trees?
- Co do nas.
- Ty i tak nie widzisz różnicy.
- A gdybym powiedział, że zmieniłem zamiar? Pokręciła przecząco głową i spojrzała na szczupłą, opaloną twarz, która, gdyby nie zbyt blisko osadzone oczy, mogłaby się wydawać całkiem ładna.
- Nic z tego, Peter. Nie ma sensu i dobrze o tym wiesz.
- Ty tak zdecydowałaś. Roześmiała się dźwięcznie.
- Nie chodziło ci o mnie, tylko o moją ziemię dla twojego ojca. A ja chcę zachować dla siebie Cherry Trees i wygląda na to, że uda mi się.
- Dzięki temu aktorowi?
- Pisarzowi — poprawiła go.
- Kiedy skończy swoje wiejskie zabawy i wróci do miasta z piękną nową sprzedawczynią z mleczarni, pamiętaj, że moja propozycja jest nadal aktualna. Małżeństwo lub sprzedaż domu, cokolwiek zechcesz.
- Gdybym cię nie znała, poczułabym się urażona — powiedziała z wymuszonym uśmiechem. — Nic z tego. Na żadnych warunkach.
- Zobaczymy — odparł. — Rzeka ciągle się podnosi.
- Wiem. Wszyscy dookoła o tym mówią.
- Od naszej granicy w górę nic nikomu nie grozi, ale ty możesz mieć kłopoty.
- Peter, ile razy trafi się mokry rok, wszyscy powtarzają to samo. Rzeczywiście, kiedyś woda doszła prawie do Cherry Trees, ale wtedy byłam mniejsza od pasikonika.
- Koń zarżał cicho, trącając ją chrapami, a ona pogłaskała go po białej głowie.
- Nie przyszło ci do głowy, że będziesz musiała poważnie się zastanowić nad moją ofertą, jeżeli woda zaleje ci dom?
- Serce Carol podskoczyło do gardła.
- Nie przyszło i nie przyjdzie.
- Zacznij powoli oswajać się z tą myślą. Cherry Trees nie będzie zbyt wiele wart po powodzi.
- Czy przypadkiem tatuś na ciebie nie czeka? — zapytała ironicznie. — Działasz mi na nerwy.
- Peter roześmiał się i posłał jej pocałunek. Mijając stare kombi Shane'a, pomachał dłonią kierowcy.

— Wskakuj — powiedział Shane. — Czy Marriatt znów ci się oświadczył?

— Niestety tak. Jak tak można? Dla niego małżeństwo to tylko interes do ubicia.

— Nie martw się. Za parę lat zmieni się nie do poznania. A teraz jedziemy odpocząć od tego wszystkiego.

— Właśnie — odparła z całą stanowczością, na jaką było ją stać. — Najwyższy czas.

RS

## ROZDZIAŁ 11

Było już bardzo późno, gdy Shane odwiózł Carol do domu. Zatrzymał się przed bramą wjazdową i wyskoczył z samochodu, by otworzyć jej drzwiczki.

— Nie wpadniesz na jednego przed snem? — zapytała.

— Po tylu wrażeniach z dzisiejszego dnia? — uśmiechnął się. — Bardzo ci dziękuję, ale jestem zmęczony i chcę się jak najszybciej położyć. Od lat tak dobrze się nie bawiłem.

— Dziękuję ci, Shane, za ten wieczór. Ja też bawiłam się wspaniale.

— Wydaje mi się, że powinniśmy częściej się spotykać. Dziękuję ci, Carol. Dobranoc.

Pocałował ją spieszenie i wskoczył do auta. Carol patrzyła za nim, aż zniknie jej z oczu, potem wolno poszła do domu i cicho otworzyła drzwi, by przypadkiem nikogo nie zbudzić. W kuchni paliło się jeszcze światło. Weszła i zobaczyła Frances, przeglądającą gazety.

— Nareszcie jesteś — powiedziała. — Długo cię nie było.

— Masz rację, już po północy — przyznała radośnie Carol. — Czuję tu zapach kawy.

— Zrobiłam ją całe wieki temu. Jak chcesz, zaparzę ci świeżej.

— Nie, dziękuję. Ta mi zupełnie wystarczy. Nie mogłaś zasnąć?

— Nawet nie próbowałam. Czekałam na ciebie.

— Naprawdę? Dlaczego?

— Chciałam się upewnić, że nic ci się nie stało.

— Frances, myślisz, że co się dzieje, kiedy ciebie tutaj nie ma?

— Nie wiem, ale wydaje mi się, że Amy czeka na ciebie.

— Nie czeka, a ty się po prostu wygłupiasz. Mmm, bardzo smaczna kawa. Chcesz trochę?

— Tak, proszę.

Frances patrzyła, jak Carol nalewa brunatnego płynu do filiżanki z dużego, niebieskiego dzbanka, który od niepamiętnych czasów stał na honorowym miejscu na rzeźbionym kredensie. Wreszcie nie mogła się dłużej powstrzymać i zapytała:

— Jak było?

— Wspaniale — odparła Carol. — Proszę, oto twoja kawa. A co u ciebie?

— Nieźle. Wydaje mi się, że Mark coś mi zaproponuje, i nie będzie to żaden ochłap. Chce natomiast, żeby Julia grała główną bohaterkę, a chociaż ciężko mi się z tym pogodzić, muszę przyznać, że jest do tej roli urodzona.

Tylko, że akurat w tym przypadku, ostateczna decyzja nie należy do Marka — westchnęła Frances. — Powiedz, gdzie byłaś?

— W kinie. Grali jakąś zupełnie zwariowaną komedię, ale bardzo śmieszna.

— Moja droga, przecież kino zamknęli ładnych parę godzin temu!

— Zgadza się.

— Czy chcesz, żebym urządziła straszliwą scenę? Dokąd potem poszliście?

— Na kolację. Nie martw się, nic w twoim stylu.

Kiełbasa zasmażana z cebulą i frytki. Do tego mocna herbata w grubych, porcelanowych kubkach. Mówię ci, co za zabawa! Muzyka z szafy grającej i całe mnóstwo ludzi, ubranych w czarne, skórzane kurtki. Odłożyli swoje kaski na krzesła i tańczyli. Ja z Shane'em też.

— Naprawdę? Nie wiedziałam, że Shane potrafi tańczyć.

Jest świetny. Poza tym doskonale nawiązuje kontakt z ludźmi. Przysiedliśmy się do motocyklistów, a oni opowiadali nam o wrażeniach z jazdy z prędkością stu mil na godzinę. Potem Shane opowiedział im o swoich zwierzętach, a oni wprost tarzali się ze śmiechu. Shane obiecał, że znowu tam pojedziemy.

— Więc tańczyliście? — powtórzyła zamyślona Frances. — Nigdy bym nie przypuszczała. Czy to nie dziwne?

— Nic a nic. Kiedy zapraszał ciebie, zawsze chodziliście tam, gdzie ty chciałaś, żeby móc pokazać się ludziom. Zawsze musiałaś dopiąć swego. A ja nie. Pojechaliśmy tam, gdzie on chciał, i wcale nie żałuję. Jak powiedziałaaby Julia...

— Pocałował cię, prawda?

— Frances! Podglądałaś nas przez okno!

— Chciałam się tylko upewnić, czy już wróciliście. Lubisz go?

— Zawsze go lubiałam.

— Na tyle, żeby...

— Nie sądzisz, że to moja sprawa? Dobrze pamiętam, jak Shane prosił cię o rękę, ale to było bardzo dawno, poza tym zdecydowanie mu odmówiłaś. Wspominałaś coś o karierze, o tym, że nie masz zamiaru wysiadywać w stajni ani pielęgnować chorych zwierząt.

— Nie byłam aż tak brutalna.

— Teraz i tak nie ma to większego znaczenia, prawda? Sztuki Marka miewają zwykle duże powodzenie, więc najprawdopodobniej będziesz bardzo bogata i sławna, a ja zostanę tutaj, bo kocham to miejsce i nie chcę stąd odejść ani na krok.

— Carol — co się z tobą dzieje?

— Nie rozumiem pytania.

— Ty... naprawdę jesteś dorosła!

— Najwyższy czas. Chcesz jeszcze kawy? — zaproponowała cicho.

— Ja naleję. O Boże, ale pada!

— Praktycznie już pogodziłam się z losem i przestało mi...

— Więc jednak zdecydowałaś się wrócić do domu! — rzucił Mark, stając w drzwiach. — Gratuluję, panno Keen.

— Nie bardzo rozumiem czego — oczy Carol błysnęły zaczepnie. — Ty też nie spałeś, Mark?

— Jak mogłem? Pamiętam, że powiedziałaś kiedyś, że jak się znów pokłócimy, pójdziesz sobie stąd i nigdy nie wrócisz. Razem wzięwszy było to bardzo melodramatyczne, by nie rzec dziecinne, ale nie chcę, żebyś opuszczała dom z powodu sztuki.

— Sądząc po waszym zachowaniu, nie wiem, czy wolno mi oddychać. Jeżeli chcecie oboje prowadzić śledztwo w sprawie dzisiejszego wieczoru, musicie sobie radzić beze mnie. Dobranoc.

Odwróciła się na pięcie i wyszła, nie wiedząc, czy śmiać się, czy płakać. Bez względu na to, co zrobię, pomyślała, Mark jest wściekły. Ale przypomniał sobie, co powiedziała tuż po przyjeździe Frances. Zatrzymała się na chwilę, nie dowierzając własnym oczom. Drzwi do pokoju Amy były otwarte.

— Wiem, że nie śpisz — powiedziała Carol, otwierając je szerzej. — Mogę wejść?

— Oczywiście, moja droga.

Carol poczekała, aż Amy zapali światło, i zamknęła za sobą drzwi.

— I co? — spytała Amy. — Warto było?

— Tak. A skoro już przy tym jesteśmy, ani mi się waży pisać, że pierwszy raz nie było mnie tak długo w domu. Frances zachowuje się jak kwoka, przygarniająca swoje pisklęta. Zupełnie to do niej nie pasuje. Mark, jak zwykle, jest wściekły, a ja poczułam się dziś bardzo ważna.

— No, no! Patrzcie, jak się puszy! — zachichotała Amy. — Ja też się martwiłam o ciebie.

— Bo tak późno wróciłam?

— Nie. Nie powiedziałaś mi dobranoc.

— Miałam się zdradzić? Szcjoda, że nie widziałaś, jak wyglądała Frances. Jest najwyraźniej zazdrosna.

— Ma, na co sobie zasłużyła. Trzymaj się Shane'a, porządny z niego chłopak.

— Amy, widzę, że na mnie już czas, bo nie wiesz, co mówisz. Dobranoc.

Carol pocałowała ją w policzek i poszła prosto do siebie. Przed snem przypomniała sobie wieczór spędzony z Shane'em i sposób, w jaki ją pożegnał. Wyobraziła sobie minę Frances stojącej za oknem i uśmiechnęła się radośnie.

Następnego ranka, po śniadaniu, Mark zszedł do kuchni. Z twarzy zniknął mu wyraz ciągłego niezadowolenia.

— Dzień dobry. Zostało jeszcze trochę herbaty? — zapytał młodzieńczym głosem.

— Zaraz podam — zaofiarowała się Amy.

— Gdyby słowo „sztuka” nie było tak znieawidzone w tym domu, z radością oznajmiłbym, że skończyłem — zwrócił się do Carol. — Pozostało tylko zabrać ją do mojego agenta i zapomnieć o niej.

— Na jak długo, Mark?

— Do czasu premiery.

— Bardzo się z tego cieszę — powiedziała z powagą. —

Naprawdę. Julia mówiła mi, że jest wspaniała, lepsza niż wszystko, co napisałeś dotąd.

— Nawet jej nie czytałaś, skąd możesz wiedzieć? Jesteś uczulona?

— Wcale nie i uważam, że jesteś bardzo zdolnym dramaturgiem. Skoro wszystko się dobrze skończyło, mogę ci wyjawić pewien sekret. Nie przeczytałam jej, bo bałam się, że jak ujrzę tam bohaterkę, która do złudzenia przypomina mi Frances, zaraz zacznę cię błagać o rolę dla niej. Wtedy byś mnie całkiem znieawidził.

— Ależ skąd! Co ci przyszło do głowy? — Mark uśmiechnął się szeroko. — Mam nadzieję, że nie gniewasz się na mnie za zeszłą noc.

— Nie miałam się o co gniewać. Poza tym twoja troska o mnie bardzo mi pochlebia. Przy okazji, czy zamierzasz zaproponować Julii pracę?

— Oczywiście. Nie sądzę, żeby musiała więcej chodzić do mleczarni. Gdzie się podziała Frances?

— Na górze, z Julią. Dogadują się, czy coś w tym rodzaju. Obie są tak podekscytowane, że nie masz pojęcia. Mark...

— Tak?

— Nie chcesz chyba opuścić Cherry Trees tylko dlatego, że pokłóciliśmy się wczoraj. Brakowałoby mi ciebie...

— Czuję się tu zupełnie jak w domu, mówiłem ci kiedyś. Gdzie miałbym się podziać? Zostanę, dopóki będziesz w stanie mnie znieść. A teraz, skoro pokonałem już najtrudniejszą przeszkodę, chciałbym się trochę przejść i

lepiej poznać ludzi, którzy tu mieszkają, w tym Shane'a i ciebie. Możesz wierzyć lub nie, ale zamierzam sobie dobrze odpocząć.

— Nie masz pojęcia, jak się cieszę!

— Naprawdę? Możesz sobie dać spokój z Shane'em, odtąd stale będziesz narażona na moje towarzystwo.

— Czyżby? — postanowiła trochę się z nim poprzekomarzać. — Ciekawe, co na to Shane.

Godzinę później Mark odwiózł Julię do miasteczka, zaś Carol i Amy zajęły się porządkami. Frances próbowała im pomóc, jednak czyniła to z niewielkim przekonaniem. Mimo, iż dzień nie nastrajał optymistycznie, Carol miała wiele powodów do radości: Mark odzyskał swój dobry humor, zaprzyjaźniła się bliżej z Shane'em, Julia miała wszelkie szanse, by zostać gwiazdą, a Frances nie bardzo mogła się połapać, o co chodzi — z korzyścią dla wszystkich zainteresowanych.

Na dźwięk telefonu Carol zbiegła na dół. Frances trzymała w dłoni słuchawkę i z kwaśną miną podała ją siostrze.

— To Shane. Do ciebie — powiedziała i wróciła do kuchni.



## ROZDZIAŁ 12

W jedno ze swych wolnych popołudni Julia wróciła z miasteczka bardzo czymś zaaferowana. W kuchni zastała Frances, Amy i Marka.

— Frances, moja droga. Kto to jest Peter Marriatt? Mark wzdrygnął się na wspomnienie nazwiska.

— Dlaczego pytasz?

— W miasteczku od dawna mówili, że Peter ostrzy sobie zęby na Carol. Właśnie dowiedziałam się, że wczoraj ponowił oświadczyzny, ale nic z tego. Carol nie dała mu żadnych nadziei i wszyscy pochwalają jej decyzję. Czy ktoś mógłby mi to wytłumaczyć?

Amy odezwała się pierwsza.

— Nawet Frances nie wie, przez co przeszła ta dziewczyna, żeby utrzymać Cherry Trees, ale w miasteczku nic się przed nikim nie ukryje. Tak! Wszyscy podziwiają jej upór i odwagę. Listonosz Mike, Jessop z mleczarni, pani Briggs czy rzeźnik Haines, wszyscy trzymają za nią kciuki — z wyjątkiem Marriattów.

— Dlaczego? — spytał Mark. — Chociaż... chyba znam odpowiedź.

— Ich posiadłość przylega do Cherry Trees. Staremu Marriattowi zawsze dobrze się powodziło, ale takiemu nigdy dosyć. Zaraz po śmierci państwa Keen Peter przyszedł poprosić Carol o rękę.

— To znaczy, że się kochali? — wtrąciła Julia.

— Nie. Carol strasznie wszystko przeżyła. Czowała się przygnębiona i samotna. A tu przychodzi młody Marriatt i ni stąd, ni zowąd proponuje małżeństwo. Wydaje mi się, że wtedy Carol się przełamała wewnątrz i postanowiła wziąć się w garść.

— Przestań — wyszeptała Frances. — Bo się rozplaczę!

Amy zignorowała ją i ciągnęła dalej:

— Peter ma pewną słabość, mianowicie lubi sobie wypić. Nie traci panowania nad sobą, to mu trzeba przyznać, ale staje się wtedy bardzo gadatliwy. Kiedyś zaczął się chwalić na cały głos, że jego ojciec niedługo przejmie Cherry Trees. Mike był przy tym i pociągnął go za język.

— Czego się dowiedział? — zapytał Mark z błyszczącymi od gniewu oczyma.

— Stary Marriatt obiecał Peterowi dwadzieścia tysięcy funtów, jeżeli ożeni się z Carol i przekona ją, żeby przepisała swoją ziemię na niego. Stary miał im zostawić dom. Mike mi opowiedział, a kiedy byłam pewna, że Carol będzie w stanie to znieść, powtórzyłam wszystko, słowo po słowie. Zawzięła się i nic dziwnego, że dała mu kosza.

— O niczym mi nie mówiła — szepnęła poblądła Frances. — Ani słowem, w żadnym liście.

Amy zauważyła zgryźliwie:

— I co byś zrobiła? Byłaś gdzieś daleko, na północy, bo wysłał cię tam ten twój Max, nie pamiętasz? Byłaś tak zajęta, że nie miałaś czasu, żeby wpaść na chwilę do domu i pomóc siostrze w pogrzebie. Była sama, zupełnie sama!

— Niezupełnie, przecież ty z nią byłaś — zauważył Mark. — Jesteś kochana, Amy.

— To nie to samo.

— Carol traktuje cię jak domownika, jak członka rodziny. Kiedy raz nazwałem cię przy niej służącą, o mało nie urwała mi głowy. Na szczęście wszystko, co złe, jest już poza nami. Mówisz, że rozmawiali wczoraj wieczorem? — ostatnie słowa skierował do Julii.

— Tak. Peter podobno oświadczył się jej po raz drugi, ale ona go wyśmiała. Wtedy poszedł się napić i rozgadał się, jak zwykle. Mówił, że jeszcze nie wszystko skończone, że ten się śmieje, kto się śmieje ostatni.

— Tak potrzebuje pieniędzy? Julia zaprzeczyła.

— Nie. Peterowi jakby się odmieniło i teraz wystarczy mu sama Carol. W miasteczku wszyscy uważają to za żart i dokuczają mu ile wlezie. Nikt go tu chyba nie traktuje poważnie.

— Rodzice go rozpieścili, ot co! — skomentowała Amy.

— Ktoś powinien wreszcie nauczyć go rozumu — wtrącił Mark. — Jak długo można?

— Co jak długo można? — zapytała Carol od drzwi. Wszyscy zaczęli mówić naraz, co bardzo ją rozśmieszyło.

— Wy, artyści, za bardzo się przejmujecie pewnymi rzeczami.

— A więc to prawda? — rzucił Mark.

— Że Peter oświadczył mi się wczoraj wieczorem? Tak, ale ostatnio robił to bardzo często. Przyzwyczaiałam się. Chyba wszyscy się tego po nim spodziewają. Potem idzie na jednego i upija się, a wszyscy dookoła bawią się jego kosztem. Biedny Peter!

— Jeszcze go żałujesz! — rozgniewał się Mark.

— Dlaczego nie potraktujesz tego jak Shane? Zareagował znacznie spokojniej.

— Chodzi nam o to — powiedziała Julia — że oświadczył ci się w taki sposób. Nie powiesz chyba, że Shane był tam z wami.

Przerwał jej szczery śmiech Carol.

— Nawet Peter by się nie ośmielił. Czekałam na Shane'a, bo nie chciałam iść po błocie w szpilkach, a tu nadjechał Peter. Zapytał, dostał odpowiedź i pojechał dalej. Rzekłabym, że z ulgą, bo jego zaloty stawały się powoli zabawą dla całego Tambethwell. Shane zobaczył go i zapytał, czy znów przyszedł po to samo. Potem zmieniliśmy temat.

— Przecież nie... — zaczął Mark, ale Carol nie pozwoliła mu skończyć.

— Nie przesadzaj. Wy, ludzie teatru, ze wszystkiego robicie przedstawienie. Powiem wam jeszcze coś. Kiedy próbował mnie przekonać, zachowywał się nienagannie. Nigdy się nie denerwował i zwracał uwagę na to, co czuję.

— Zupełnie inaczej niż ci, których możesz wymienić z nazwiska? — dopowiedział Mark. — Traktował cię przecież jak towar na sprzedaż! I to, co opowiadał za twoimi plecami...

— Gdy zorientowałam się, że chodzi mu tylko o ziemię, przez jakiś czas czułam się przygnębiona. Uraził mnie, to prawda, ale wy przestańcie wreszcie naskakiwać na niego, jakby co najmniej kogoś zabił. Mam chyba prawo, żeby ktoś od czasu do czasu traktował mnie jak swe oczko w głowie. Nie występuję na scenie przed publicznością, nie jestem sławna, ale w miasteczku mam wielu przyjaciół. Co wam szkodzi, że od czasu do czasu pośmieją się z Petera?

— Carol! — jęknęła Frances. — Czasem zupełnie nie potrafię cię zrozumieć.

— A tobie nigdy nie przyszło do głowy, że ja tylko czasem potrafię cię rozumieć? Wczoraj wieczór zdenerwowałam się waszym zachowaniem, potem oświadczył mi się Peter, a wam się wydaje, że nie wiadomo co się stało. Czy naprawdę nie macie innych kłopotów? Mark uśmiechnął się i skinął głową.

— Poddaję się. Nikt z tobą nie wygra.

— Więc napijmy się po filiżance herbaty i porozmawiajmy o sztuce — mrugnęła porozumiewawczo do Marka. — Postaram się dotrzymać ci kroku.

Niebawem Carol przekonała się, że to, co Mark mówił o odpoczynku, oznaczało jedynie, że przez pewien czas nie będzie pisał. Z niecierpliwością czekał na opinię swego agenta i innych wpływowych osób, które gotowe były zainwestować pieniądze w premierę. Potem następowały nie kończące się rozmowy telefoniczne i pospieszne wyprawy do miasta na spotkania, podczas których decydowano o tym, co należy zrobić i w jakiej kolejności: obsada podstawowa, zastępstwa, dekoracje...

W jednym Mark był nieustępliwy — Julia musiała grać główną bohaterkę. Zupełnie nie dopuszczał do siebie myśli o kimś innym. Trzeba było też znaleźć miejsce dla jej koleżanki, panny Frances Keen. O główną rolę rozegrała się zresztą prawdziwa bitwa — ktoś po drugiej stronie zaczął nagle wrzeszczeć do słuchawki, że trzeba zatrudnić kogoś o znanym nazwisku, żeby przyciągnąć publiczność. Wtedy Mark wybuchnął:

— Od kiedy moje sztuki potrzebują wielkich nazwisk? Jeżeli tak, to zmieniam zdanie, nie wystawię u was tej sztuki.

Carol, która przez cały czas przysłuchiwała się rozmowie, uśmiechnęła się szeroko. Mark bez przerwy stroił miny i był tak pewny siebie, bo wiedział, że w końcu wszyscy przystaną na jego warunki. Spojrzał na dziewczynę i puścił oko, zupełnie jak mały chłopak, który wie, że każda psota ujdzie mu płazem.

Na koniec, ku zadowoleniu wszystkich, podpisano kontrakt. Pozostało jedynie dokooptować brakującą część obsady, producenta, scenografa, kostiumologa, choreografa i orkiestrę. Znowu toczyły się negocjacje, Mark wybuchał gniewem, po czym atmosfera uspokajała się. Wtedy uśmiechał się i powtarzał:

— W moim świecie Carol jest jedynym człowiekiem o zdrowych zmysłach. Chodźmy na mały spacer. Ani słowem nie wspomnę o sztuce, obiecuję. Zgoda?

— Zgoda — odpowiadała zawsze tym samym tonem. Szli razem, obok siebie, czasami prawie nie odzywając się do siebie, zasłuchani w odgłosy nadchodzącego lata, oddychając świeżym powietrzem.

Parę razy odwiedzili też panią Barker. Wieczorami, gdy nie miał nic do roboty w lecznicy, przychodził Shane i zabierał ją do kina, albo siedzieli razem w przytulnej kuchni, przyglądając się harcom kotków i rozmawiając o zwykłych, codziennych sprawach.

Stopniowo nawet Shane zapoznał się z postaciami sztuki. Zupełnie jakby one same, stworzone w umyśle Marka, obudziły się do samodzielnego życia i stały się częścią atmosfery domu. Wszyscy wiedzieli, jak zachowałyby się w różnych okolicznościach i co by powiedziały. Carol przekonała się, że to, co Mark mówił o nich, jest prawdą. Podziwiała jego talent i czuła, że jest w stanie wybaczyć mu nawet zmienny nastrój, którym raczył ją dzień po dniu w czasie pisania sztuki.

Nadszedł wreszcie dzień, kiedy Mark miał zabrać Julię i Frances do miasta na pierwsze przesłuchania. Amy patrzyła nań tak smutnym wzrokiem, że Mark zaproponował:

— Zabierzcie się z nami obydwie — Amy i ty, Carol. Zobaczycie, jakie to ciekawe.

— Ja nie pojedę — pokręciła głową Carol. — Zostanę, bo mogą się trafić jacyś goście, ale Amy musi jechać.

— Nie zostawię cię samej — zaczęła Amy, ale Carol uśmiechnęła się tylko.

— Musisz! Ja naprawdę wolę poczekać na premierę, inaczej zepsujecie mi zabawę. Nie mogę słuchać tych samych słów powtarzanych w kółko, poza tym, szczerze mówiąc, żałowałabym wszystkich, którzy nie dostaną roli.

Pojechali więc bez niej. Z przodu siedziała rozparta dumnie Amy, w najlepszej sukience i gustownym kapeluszu. Carol odprowadziła samochód aż do bramy, po czym wróciła do domu. Cherry Trees wydawał się dziwnie spokojny, jakby wstrzymał oddech, czekając na powrót swych pozostałych mieszkańców.

Na zewnątrz robiło się coraz ciemniej — ciężkie, prawie czarne chmury przesłoniły zupełnie słońce, a daleki grzmot zwiastował nadchodzącą burzę. Carol zaczęła żałować, że nie pojechała z innymi. Od dziecka bała się burzy, a na widok błyskawic przechodził ją dreszcz. Zastanawiała się, czy nie zatelefonować do Shane'a i nie zapowiedzieć się z wizytą, ale zdecydowała, że nie może dać mu poznać, że się boi. Lepiej pójdę do niego jakby nigdy nic, pomyślała. Jednak nie, nie powinnam.

Ciche miauknięcie kotka przerwało jej rozmyślenia. Podniosła go i pogłaskała.

— A gdzie twój brat? Aha, śpi sobie w najlepsze na fotelu Amy. Widzisz, jaka brzydka pogoda? Nikt do nas nie przyjedzie, ale my damy sobie radę. Chcesz mleka?

Wczesnym popołudniem potężny podmuch wiatru załomotał w okiennice, zwiastując koniec denerwującej, dusznej ciszy. Tknięta przecuciem, Carol zabrała z sobą oba kotki do kuchni, by w razie czego móc je łatwo znaleźć.

Cały czas powtarzała sobie, że wszystko minie, że to nic groźnego. Deszcz czy pogoda — nie miały teraz większego wpływu na Cherry Trees. Brak turystów oczywiście uderzy ją po kieszeni, ale zostawał Mark i Julia obiecała, że zamieszka z nimi i będzie płacić więcej, kiedy już dostanie rolę w teatrze. I Frances... Zachowanie siostry zaskoczyło ją trochę. Mimo, że otwierała się przed nią wielka szansa, wydawała się być nad podziw spokojna i opanowana. Nawet myśl o zemście na Maxie nie sprawiała jej widocznej satysfakcji. Carol zastanawiała się, czy to przypadkiem nie z

powodu Shane'a. Nie powinnam się bać, myślała, może lać jak z cebra — mam przecież skąd zdobyć środki na utrzymanie domu. Mimo to, jakiś wewnętrzny głos nie przestawał powtarzać słów Petera: Cherry Trees... po powodzi.

— Proszę — usłyszała swój pełen napięcia głos. — Boże, nie dopuść, żeby rzeka wylała. Jeżeli powódź dojdzie aż tutaj, co ja zrobię? Dokąd pójdę?

Wtem niebo otwarło się na oścież i strugi deszczu z impetem zaatakowały dom. Spoglądając na zewnątrz przez zalane wodą okna, Carol przeraziła się nie na żarty.

RS

## ROZDZIAŁ 13

Błyskawica na moment rozjaśniła niebo, a Carol z obawą liczyła sekundy do chwili, gdy rozległ się grzmot. Podmuchy wiatru przybierały na sile, zupełnie jakby na górze, nad samym domem, rozpętało się piekło. Strumienie wody zmywały wszystko na swej drodze.

Siedząc przy oknie, Carol próbowała powstrzymać napływające do oczu łzy. Ostatnie uderzenie piorunu było straszne, rozdarło całą długość nieba, sycząc i trzeszcząc, jak olbrzymi bicz, popędzający chmury, by rozplynać się w głośnym, metalicznym pomruku grzmotu.

Przypomniała sobie, jak ojciec opowiadał jej o Hindusach, którzy czarne, deszczowe chmury nazywali Słoniami Niebios. Słonie uciekały właśnie przed złośliwymi, kłującymi biczami piorunów, trąbiąc co sił i wylewając na ziemię strumienie rześzystych łez. Normalnie woda zbierała się w rzekach, ale gdy łez było za dużo, rzeki występowały z brzegów.

Carol wybiegła z kuchni, nie mogąc znieść samotności ani przez chwilę dłużej. Podniosła słuchawkę i trzęsącymi się palcami wybrała numer Shane'a. Niech sobie myśli, co chce, powie mu, że się boi i chce być razem z nim. Telefon milczał, w słuchawce nie było sygnału. Walcząc z ogarniającą ją falą paniki tłumaczyła sobie, że deszcz niekoniecznie musi oznaczać powódź, ale nie przestawała szukać odpowiedniego pojemnika, do którego mogłaby zabrać kotki.

Rzuciła okiem na dwa małe kłęбки futerka, śpiące spokojnie w fotelu i próbowała zebrać myśli, lecz wycie wiatru uparcie przywodziło jej na myśl koła samochodu, wpadającego w poślizg, grzmoty zaś — uderzenie rozpędzonego auta w mur. Nagle wszystko stanęło jej przed oczyma — Złoty Deszcz, tulący swą głowę do białej, nieruchomej dłoni. Zaczęła krzyczeć, wołać na pomoc Marka, by przyszedł jak najprędzej i uratował ją. Chociaż on sam oczywiście się nie zjawił, samo wspomnienie jego osoby wydawało się podnosić ją na duchu.

Zawiązała pod szyją szalik i włożyła płaszcz, potem niepewnymi dłońmi wsadziła kotki do koszyka, który obwiązała kawałkiem materiału, by przestraszone nie wy dostały się z niego. Z walącym w piersiach sercem naparła całą siłą na drzwi i otworzyła je na tyle, by wyjść z domu. Schyliła się, bo deszcz zaciął ostro w twarz, i usłyszała, a raczej poczuła, jak zatrzasną ją za nią drzwi Cherry Trees. Drogę zagrodziło jej powalone drzewo, lecz po chwili wszystkie jej myśli zastąpiła walka z żywiołem.

Alejka żyła własnym życiem: drzewa i krzewy smagane wiatrem i potokami lejącej się z nieba wody zwiły się i trzepotały bezsilnie, a jęki

torturowanych gałęzi co jakiś czas zagłuszały szum deszczu. Carol z wysiłkiem posuwała się do przodu, z trudnością łapiąc oddech.

Instynktownie odsunęła się na bok, gdy olbrzymi dąb, który pamiętała z czasów swego dzieciństwa, zwałił się w błoto nieomal u jej stóp. Poczuła, że wraz z drzewem umiera część jej samej — już nigdy nie zasiądzie w jego cieniu, nie zasłucha się w śpiew ptaków, wijących sobie gniazda pośród jego gałęzi. Było piękne i okazałe, lecz wystarczyła chwila, by zginęło — całkiem niespodziewanie, jak jej rodzice. Carol przyspieszyła kroku, przyciskając do piersi koszyk ze zwierzętami, potykając się i modląc w duchu, by Mark wreszcie przyjechał.

Nagle zamajaczył przed nią ciemny kształt, który okazał się być starym kombi Shane'a. A oto i on sam wybiegł jej naprzeciw, objął i pomógł wsiąść do środka. Silnik parę razy kichnął, jednak wreszcie obudził się do życia i szczęśliwie dojechali do domu Shane'a.

— Masz, napij się tego — powiedział. — Trochę się zakrztusisz, ale zaraz poczujesz się lepiej. Jesteś cała mokra!

Wypiła posłusznie podaną wódkę, choć paliła jej gardło.

— Nie! Nie wyjmuj ich! — rzekł Shane, gdy podeszła do koszyka, chcąc uwolnić kotki. — Musimy zabrać stąd wszystkie zwierzęta.

— To znaczy...

— Właśnie tego się boję. Ale najpierw musiałem się upewnić, że ty jesteś bezpieczna — uśmiechnął się. — Pomożesz mi?

— Dokąd je zabierzemy?

— Do Marriattów. Peter przyjechał do mnie z ostrzeżeniem, chciał nawet jechać po ciebie, ale wysłałem go do Tambethwell. Telefony nie działają, a trzeba uprzedzić innych. Teraz zabierajmy się za pacjentów.

Po chwili Carol była tak zajęta, że nie miała czasu się bać. Większość zwierząt zachowywała się spokojnie, z wyjątkiem psów, które skamlały żałośnie z ogonami podkulonymi pod siebie. Gdy auto wyładowane już było po brzegi klatkami, Shane wskoczył za kierownicę.

— Chodź! — zawołał. — Musimy obrócić ze trzy razy, a nie zostało już dużo czasu!

— Nie! — próbowała przekrzyknąć szum nawałnicy. — Weź psy, a ja tu zostanę! Bardzo się boją!

— W porządku! Gdzie są?

— Już je załadowałam! Wracaj szybko!

To rzekłszy, wepchnęła na przednie siedzenie dwie klatki z psami i Shane odjechał, zostawiając ją w kłębach sinego dymu. Carol poszła do lecznicy, gdzie została reszta psów, które nie zmieściły się za pierwszym



razem. Starala się mówić do nich spokojnym głosem, podchodziła do każdego i głaskała za uchem. Przez cały czas spoglądała jednak z obawą na drzwi, spod których lada chwila mogła napłynąć woda.

Podrapała za uchem pewnego terriera, z tylną łapą w metalowych szynach.

— Pewnie nie dasz rady pływać, biedaku. Nie martw się, Shane wróci po ciebie.

Pies zamachał radośnie ogonem i Carol bardzo się ucieszyła, że została.

Za drugim razem Shane zabral większość psów. Kłopoty sprawiał jedynie Grumpy, ale Shane nie bawił się w ceregiele i wraz z Carol załadowali chrząkające zwierzę. Geś syczała z niezadowolenia, ale musiała się zadowolić miejscem obok świni. Zostało tylko parę ptaków i kucyk.

— Po diabła! — warknął Shane. — Będę musiał wrócić. Nawet szpilki się tu nie wetknie.

— Daj dwie klatki na siedzenie.

— Wykluczone! Teraz twoja kolej.

— Nie kłóć się, wiem, co mówię. Zostało nam jeszcze trochę czasu!

— Nie wygłupiaj się!

— Widziałam kucyka — i wiem, że bardzo się boi. Shane odjechał bez niej. Carol wróciła do zwierzęcia i pogłodziła je po głowie.

— Nie bój się, maleńka. Będiesz chyba musiała iść za samochodem, ale nie martw się.

Zwierzę wtuliło głowę w zagłębienie jej dłoni. Kolejne uderzenie piorunu sprawiło, że całym ciałem przylgnęła do kucyka. Po chwili usłyszała, że Shane wrócił. Gorączkowo załadowali ostatnie klatki, potem Carol wyprowadziła kucyka.

— Dobrze! Przywiąż jej lejce do zderzaka. Poczekaj, pomogę ci — zawołał Shane.

Podszedł do zwierzęcia, które kręciło się niespokojnie, przerażone deszczem, hałasem grzmotów i błyskawicami i w mgnieniu oka zadzierzgnął supeł.

— Wsiadaj. Nic jej nie będzie.

— Tylko nie jedź za szybko. Obiecay mi.

— Nie kłóć się i wsiadaj! Ojej, nie zostawiliśmy czasem myszki Toma Briggsa?

— Pojechała razem z kotami — zachichotała, bliska hysterii. — Mam nadzieję, że klatka wytrzyma. Sprawdzę jeszcze!

— Nie ma czasu!

Wcisnęła się do środka i ruszyli. Opony samochodu ślizgały się po rozmokniętej drodze. Od strony rzeki powoli, lecz nieuchronnie, zbliżała się fala powodzi.

— Zatrzymaj się — wyszeptała Carol, niezdolna wytrzymać dłużej. — Zatrzymaj się, ja pójdę razem z kucykiem.

— Czyś ty oszalała? I tak jedziemy w zółwym tempie. Nic jej nie będzie.

— Błagam cię, Shane! Ona się boi!

— Do jasnej cholery!

W przednie koło zaplątała się gałąź i Shane musiał przyhamować. W mgnieniu oka Carol wyskoczyła z auta i brodząc w wodzie, zbliżyła się do zwierzęcia. Kucyk oddychał ciężko, a gdy z oddali dobiegł ich trzask pioruna, lekko zarżał. Dziewczyna objęła ramionami kosmatą szyję.

— Cicho, nie bój się — powiedziała mu do ucha. — Zdążymy.

Samochód znów lekko przyspieszył i dziewczyna z trudnością brnęła w ciemnej, mulistej wodzie, której poziom bezustannie wzrastał. Gęsty deszcz, gnany wiatrem, przesłaniał widoczność, a uderzenia piorunów stawały się coraz częstsze. Świat zdawał się pograżać w oszalałym tańcu żywiołów.

Wtem Carol uczuła, że ktoś ją obejmuje i pomaga posuwać się do przodu. Za chwilę byli już bezpieczni. Z zaskoczeniem dostrzegła u swego boku uśmiechniętą twarz Petera, który natychmiast odwiązał zmęczonego do granic wytrzymałości kucyka.

— Prędko! — rzucił Shane. — Znajdźcie dla Silvy jakieś miejsce w stajni, a ty, Carol, przynieś mi torbę z narzędziami. Jest w samochodzie, koło przedniego siedzenia. Obyśmy zdążyli!

Kucyk trząśł się, nie mogąc ustać, na nogach, więc Carol pomogła odprowadzić go do stajni, po czym Shane wysłał ją do domu, do ciepłego i bezpiecznego schronienia, po tylu godzinach przeżyć. Gospodyni Marriattów, pani Harris, z uśmiechem podawała wszystkim gorącą herbatę i suche rzeczy do przebrania. Na zewnątrz mężczyźni uwijali się jak w ukropie, pomagając płynącym z wielką wodą zwierzętom wydostać się wyżej, gdzie było bezpiecznie.

Po kilku godzinach nieprzerwanych opadów stało się jasne, że woda musiała zalać Cherry Trees, lecznicę Shane'a i dość dużą część miasteczka.

Wtedy drzwi otworzyły się i stanęli w nich stary Marriatt, Peter i Shane, straszliwie zmęczeni, lecz uśmiechnięci.

— Co z Silvy? — spytała Carol nieśmiało.

— Wszystko w porządku — odparł Shane.

— A źrebię?

— Jest śliczne! Powinniśmy je nazwać Burza, albo coś w tym rodzaju. Jest całe czarne, z wyjątkiem małej białej łatki na samym czubku głowy. Pani Briggs się ucieszy.

— To znaczy, że Silvy należy do niej? Nie wiedziałam.

— Była już w drodze do rzeźni, kiedy ją zauważyła.

— Zawsze czułem do niej sympatię — wtrącił Peter. — Napijmy się czegoś ciepłego.

Ojciec Petera, który na pierwszy rzut oka różnił się od swej latorośli jedynie wiekiem, ochoczo przytaknął:

— Tak, czas się napić. Wreszcie ubijemy ten interes. Wszyscy obecni poczuli się nieswojo. Peter i Carol

poczerwienieli, Shane zamilkł, a pani Harris ni stąd, ni zowąd zaczęła narzekać na pogodę. Jedynie starszy Marriatt uśmiechał się tryumfalnie, bardzo z siebie zadowolony.

Dopadł mnie wreszcie, pomyślała Carol i wyjrzała przez okno. Jeżeli rzeczywiście powódź zaląa mi dom, nie będę miała wyjścia.

Wieczorem cały dom Marriattów nappełnił się uciekinierami z niżej położonych części miasteczka. Okazało się, że woda osiągnęła nie notowany od bardzo wielu lat poziom. Z okien na piętrze domu widać było dokładnie rozmiary powodzi — wokół wzgórza, na którym stał dom Marriattów, rozciągało się teraz olbrzymie jezioro. Cherry Trees był zbyt daleko, ale z najbardziej wysuniętej w ich stronę części sadu widać było tylko korony pochylonych drzew.

— Pościeliłam ci łóżko, kochana — powiedziała cicho pani Harris. — Prześpij się.

— Pani Harris, ostatnim razem woda opadła dopiero po trzech dniach, prawda?

— Pamiętasz? Byłaś wtedy bardzo mała.

— Mogłam mieć ze cztery lata.

— Coś koło trzech dni. Ale wyglądało gorzej niż teraz.

— Niemożliwe. Ojciec musiał odnowić cały sad.

— Jednak pamiętasz. Nic się nie przejmuj, pan Marriatt jeszcze dostanie za swoje. A co do Petera, daj mu szansę. Zobaczysz, że wyrośnie z niego całkiem porządny chłopak. Cały czas zachowywał się bardzo dzielnie. Pewnie słyszałaś, co mówią o nim ludzie z miasteczka.

— Wiem, pani Harris... i bardzo pani dziękuję.

— Nie mów nikomu — pani Harris zniżyła głos do szeptu — ale przeniosłam po cichu twoje kotki na górę. Już się tam grzeją w łóżku. Pójdiesz teraz spać?

Carol skinęła głową. Ostatnie godziny zbyt nadszarpnęły jej siły, by mogła odmówić.

Następnego ranka przestało padać. Wschodzące słońce zabarwiło czerwoną poświatą zalaną ziemię. W dole, przy drodze wiodącej do Tambethwell, Mark Ransome zastanawiał się, co zrobić. Widząc, jak trudna jest sytuacja, postanowił wysłać towarzyszące mu Amy, Frances i Julię z powrotem do miasta, a sam miał zamiar przedostać się łodzią do Cherry Trees. Biegał od domu do domu, wołając, że odda wszystko za jedną, jedyną łódź.

— Muszę się dostać do Cherry Trees! — krzyczał. — Co się tak gapicie? Nie mam chwili do stracenia! Muszę się dostać do Cherry Trees!

RS

## ROZDZIAŁ 14

— To moje ostatnie słowo, panno Keen. Proszę się dobrze zastanowić.

Carol patrzyła na Marriatta i czuła, że jest w sytuacji bez wyjścia. Spełniły się najgorsze z jej obaw: sad był prawie całkiem zniszczony, a dom, choć można go było wyremontować, będzie musiał schnąć przez ładnych kilka tygodni, a potem...

— Nad czym się tu zastanawiać? — przynaglał Marriatt. — Lepszej ceny nikt nie zaproponuje. Mógłbym nawet dorzucić Petera do pary.

— Szkoda chłopaka — rozległ się znajomy głos od drzwi. Myślę, że trochę się obaj rozczarujecie.

— Mark! — krzyknęła Carol i podbiegła do niego. Schowała się w wyciągniętych na jej powitanie ramionach.

— Kim pan jest, do diabła? — warknął Marriatt. — I co pan tu robi?

Mark uśmiechnął się.

— Jestem Mark Ransome i przed chwilą przyplłynąłem tu łodzią... po moją narzeczoną. Przy okazji, Cherry Trees nie jest na sprzedaż. Teraz ani nigdy.

— Niech was wszyscy diabli! — wybuchnął Marriatt. Carol, niepewna, czy dobrze zrozumiała Marka, nie mogła jednak powstrzymać się od uśmiechu, gdyż rozsierdzony Marriatt wyglądał naprawdę zabawnie.

— Weź swoje rzeczy, Carol — zdecydował Mark. — Zabieram cię na przejażdżkę łodzią.

— Kotki też?

— Też. Widziałem przed chwilą Shane'a. Powiedział, że musi tu zostać, żeby zająć się zwierzętami. A my zabieramy się stąd. — Dziękuję panu za życzliwą opiekę nad Carol — zwrócił się do Marriatta. — Szkoda, że trochę się pan przy tym zapędził.

Podziękowawszy pani Harris i pożegnawszy się z pozostałymi domownikami, Carol zapakowała kotki do koszyka i zeszła z Markiem na dół, gdzie przywiązana do pnia drzewa kołysała się niewielka łódź wiosłowa.

— Wskakuj. — Mark wyszczerzył zęby w uśmiechu. — Popłyniemy ulicami miasta aż do West Lessex, tam już jest sucho. Potem odpoczniemy sobie i zastanowimy się, co dalej robić.

— Nie mamy zbyt wielkiego wyboru.

— Mylisz się — oświadczył z przekonaniem Mark.

— To znaczy, że tam... że mówiłeś Marriattowi prawdę? Chcesz się ze mną ożenić?

Łódź zachybotowała gwałtownie, gdy Mark pomógł jej usadowić się wygodnie na ławce. W milczeniu odwiązał łódź i zaczął wiosłować. Dopiero po chwili spojrzął jej prosto w wystraszone oczy i powiedział z rezerwą:

— Dlaczego nie? Ze mną byłabyś bezpieczna, a ja — miałbym Cherry Trees.

— Tak bardzo podoba ci się ten dom? — spytała cicho.

— Bardziej, niż sobie wyobrażasz. Po ślubie...

— A może pomyślałbyś wreszcie o mnie? Nie wiem, czy mam ochotę spędzić z tobą resztę życia — nie wytrzymała Carol. — Twoja propozycja wcale się nie różni od propozycji Marriatta. Dom i ja, transakcja wiązana... — roześmiała się przez łzy. — Jak na licytacji: kto da więcej, bierze wszystko. To nie do zniesienia!

— Zastanów się, co mówisz. Nie chcesz chyba stracić tego domu. Poza tym przypomnij sobie, jak wiele znaczy dla Frances, Amy i Julii. Wyjdź za mnie, a rzeczy wrócą do dawnego stanu. Będiesz mogła posadzić nowe drzewa i odremontować dom. Obiecuję, że nie zabraknie ci funduszy. W zamian za to ja wejdę w posiadanie połowy domu. Załatwimy wszystko lege artis — ty zachowasz swą niezależność, a ja zyskam pewność, że mnie stamtąd nie wyrzucisz.

— Ale będę musiała za ciebie wyjść?

— Tak. To pozwoli mi uniknąć spotkań z kobietami, które wcześniej poznałaś. Będiesz dla mnie kimś w rodzaju strażnika.

— Wspaniale! — wykrzyknęła Carol, zastanawiając się, dlaczego zamiast czuć wściekłość, jest po prostu smutna. — Ale takiego męża nie chcę.

— Odmawiasz mi? Nawet gdyby nasze małżeństwo miało być czystą formalnością?

— Kategorycznie odmawiam! Jesteś... jesteś podły! Nagle serce podeszło jej do gardła, bo Mark ruchem jednego wiosła zawrócił łódź.

— Co robisz? — spytała z przestachem.

— Zabieram cię z powrotem, żebyś mogła przyjąć ofertę Marriatta.

— Nie chcę tam wracać.

— Nie masz zbyt wielkiego wyboru.

— Shane obiecał, że się mną zajmie. Powiedział...

— Shane będzie miał pełne ręce roboty u siebie. Nie spodziewał się powodzi, prawda?

— Nie pozwolę, żeby Cherry Trees dostał się w ręce Marriattów.

— Więc dlaczego nie chcesz przyjąć mojej propozycji? Praktycznie nic między nami nie zmieni.

— Jak to? Przecież będę twoją żoną!

— Obiecuję, że nie stanę ci na przeszkodzie, jeżeli spotkasz kogoś, kto ci się spodoba. Pomogę ci tylko w najtrudniejszych chwilach.

— Doskonale — zgodziła się. — Zawróć, ale nie łudź się. Będę cię nienawidzić do końca życia!

— Dlaczego? — spytał. — Za to, że chciałem ci pomóc?

— Zrobiłeś to z wyrachowania i... a zresztą, teraz to nieważne! — spuściła głowę i zamilkła.

Podróż zalanymi ulicami Tambethwell robiła niesamowite wrażenie. Wokół na wpół zalanych domów pływały części mebli, kawałki gałęzi i masa najróżniejszych drobnych przedmiotów. Ptaki całymi gromadami obsiadywały dachy domów, od czasu do czasu trzepocząc skrzydłami. Sunące cicho łodzie i tratwy pogłębiały tylko nierzeczywistą aurę.

— Czy byłeś... widziałeś mój dom? — zapytała wreszcie.

— Tak. Popłynąłem tam od razu, żeby sprawdzić, czy nic ci się nie stało.

— A kto ci powiedział, że jestem na farmie Marriattów?

— Mike. Wyobraź sobie, że wielu rycerzy w błyszczących zbrojach tylko czekało na okazję, by móc cię uratować przed powodzią.

— Bałam się burzy, więc zabrałam kotki i pobiegłam do Shane'a — wyjaśniła.

— Jak na osobę o takim usposobieniu radziłaś sobie całkiem dobrze, prawda?

— Nie rozumiem.

— Shane opowiadał, że bez ciebie nigdy by sobie nie poradził. Podobno szłaś koło tego kucyka, bo nie chciałaś, żeby się wystraszył. Twierdzi, że uratowałaś życie matce i małemu. Shane obiecał, że mnie udusi gołymi rękami, jeżeli się na mnie zawiedziesz.

— Powiedziałeś triu, że chcesz się ze mną ożenić?! — nie dowierzała Carol.

— A czemu nie?

— Nie mogłeś wiedzieć, czy przyjmę twoje oświadczenia?

— Nawet przez myśl mi nie przeszło, że może być inaczej.

Minęły cztery dni, nim woda opadła na tyle, że Carol mogła wrócić do Cherry Trees. Chociaż próby spektaklu miały się zacząć lada chwila, Frances i Julia przyrzekły, że będą przyjeżdżać w każdy weekend i pomagać w sprzątaniu. Mark także wynajął sobie w mieście mieszkanie i od tego

czasu ani słowem nie wspomniał o małżeństwie. Amy nie ukrywała zadowolenia:

— To mężczyzna w sam raz dla ciebie, moja droga. Zajmie się wszystkim, a ty będziesz szczęśliwa jako pani Ransome. Mówię ci, potrzebujesz kogoś takiego jak on.

— Pewnie masz rację — powiedziała cicho Carol. Nie mogła zdobyć się na wyjawienie Amy całej prawdy o propozycji Marka, która w jej oczach swą bezczelnością przewyższała nawet ofertę Marriatta.

Cherry Trees przedstawiał obraz nędzy i rozpacz. Kuchnia i całe pierwsze piętro tonęły w mule po kolana. Wszystkie okna były rozbite, a tylne drzwi — wyrwane z zawiasów. Pewnego dnia przyjechał Mark i nie zastanawiając się ani chwili, podjął decyzję o remoncie. Obiecał, że następnego dnia przyśle ekipę fachowców i słowa dotrzymał.

Z dumnego niegdyś wiśniowego sadu ostały się nędzne resztki i Carol musiała przyznać, że bez Marka nie jest w stanie nic zrobić. Trzeba było pieniędzy, dużo pieniędzy, żeby przywrócić dawną świetność domowi i jego otoczeniu. Ona zaś miała jedynie dużo cierpliwości i zdecydowania, by wszystko przebiegało zgodnie z planem. Pozostawało tylko jedno wyjście — przyjęcie propozycji Marka. Potem, jeżeli on się zgodzi, założyć plantację i spłaci go co do grosza, nawet jeśli miałoby jej zejść do końca życia. W ten sposób odzyska swą niezależność.

Trzy tygodnie później odbył się ich ślub. Cały kościół wypełnił się po brzegi znajomymi i przyjaciółmi z miasteczka. Carol, ubrana w piękną, haftowaną suknię z białej satyny, szła do ołtarza niezbyt pewnym krokiem i gdyby nie obecność Frances i Julii, jej druchen, kto wie, czy nie uciekłyby przed wysokim, groźnie wyglądającym panem młodym, któremu towarzyszył Shane, wystrojony w garnitur.

Na zewnątrz czekało mnóstwo dziennikarzy. Ślub Marka Ransome był czymś na tyle niezwykłym, że nie można go było przegapić.

I tak Carol została panią Ransome. Nerwowym ruchem obracała na palcu pierścioneł zaręczynowy i obrączkę, jednym uchem wysłuchując życzeń gości, których twarze rozmywały jej się we łzach. Ze złością otarła oczy, a wszedobylska Amy stwierdziła, że to na pewno ze wzruszenia. Mark trzymał ją pod rękę i uśmiechał się, uchylając przed strumieniami konfetti.

Świetnie się bawi, zauważyła Carol. Jak może! Nie dane jej było jednak zastanawiać się nad tym zbyt długo, bo natychmiast podjechał przybrany białymi wstążkami samochód, którym państwo młodzi odwiezieni zostali do Cherry Trees. Kiedy przez chwilę znaleźli się sami, Mark powiedział, że jest jedyną osobą, która nie pocałowała jeszcze panny- młodej. Nim zdołała



zareagować, wziął ją w ramiona i jego usta wtuliły się w nią z uczuciem. Przestraszyła się, a Mark, czując to, natychmiast ją puścił.

— Jakież z pani dziecko, pani Ransome. Niech pani prędko dorośnie, bo...

— Umowa to umowa! — przerwała Carol. — Nie zapominaj o tym.

— Zobaczmy — odparł spokojnie. — Nie bój się, nie będę ci się narzucał. Zaczekam, aż sama zadecydujesz, że nadszedł czas. A teraz uśmiechnij się. Idą goście.

Po przyjęciu, na którym nie zabrakło piętrowego ślubnego tortu, toastów i wiwatów, Mark wyprowadził auto z garażu, którym wraz ze swoją żoną udał się do miasta.

— Spodoba ci się nasze mieszkanie, zobaczysz — zaczął Mark. — Z okien widać park... przynajmniej z twojej sypialni, bo moja wychodzi na ślepa ścianę z cegły.

Carol zrobiła zdumioną minę.

— Nie przejmuj się, już po wszystkim. Pomyśl tylko, ile byłoby plotek, gdyby prawda wyszła na jaw. Po prostu temat roku!

— Wiem...

— O kotki też się nie musisz martwić. Amy obiecała, że zajmie się nimi. Potem zadecydujemy, co zrobić z sadem. Wybierzemy nowe odmiany drzewek... Już się cieszę na myśl o tym. Jedną rzecz chciałbym zmienić raz na zawsze.

— Co? — zapytała pospiesznie, zastanawiając się, czy do tych słów ograniczy się jej cały wkład w rozmowy z Markiem.

— Turyści. Nie zniosę, żeby ktoś rządził się w moim ogrodzie, deptał kwiaty i wszędzie rozrzucał śmieci. Cherry Trees jest zbyt piękny, żeby na to pozwolić.

— I tak nie mieliśmy w tym roku zbyt wielu turystów. Zgoda.

— I żadnych stolików w ogrodzie?

— Żadnych — skinęła głową. — Ale nie przypominam sobie, żeby ktoś śmiecił czy deptał kwiaty. Nawet dzieci. Chociaż... nie miałabym nic przeciwko dzieciom.

— Cherry Trees musi mieć swoje dzieci.

— Doprawdy? — zapytała chłodno.

— Chciałbym widzieć twarz pani Barker, kiedy jej powiemy, że odtąd dzieci z domu sierot mogą przyjeżdżać do nas na weekendy — roześmiał się. — Carol, jesteś najpiękniejszą panną młodą, jaką kiedykolwiek widziałem.

— Dziękuję. Sukienka była rzeczywiście śliczna. Frances ją wybrała. Zresztą tak samo swoją i Julii. Delikatny błękit, wpadający w lila był wprost wymarzony dla nich obu.

— Nawet nie zauważyłem — przyznał. — Patrzyłem tylko na ciebie. Jak każdy pan młody w dniu swego ślubu.

— Wyśmiewasz się ze mnie — powiedziała zboląłym głosem.

— Ani mi to w głowie. Staram się tylko do ciebie zbliżyć. Mówiłem ci, że coraz mniej podoba mi się pomysł małżeństwa na niby...

— Mark, przestań. Proszę cię!

— Aż tak mnie nie znosisz?

— Nie o to chodzi, ja...

— Dobrze, nie mówmy już o tym. Ale nie możesz oskarżać mężczyzny, który walczy o swoje prawa.

— Nie zapominaj, że nie masz żadnych praw — rzuciła ze złością przez zaciśnięte zęby. — Chciałeś mojego domu i udało ci się dopiąć swego, ale nie myśl sobie, że pozwolę ci na cokolwiek innego. Złożyłeś mi obietnicę i chcę, żebyś jej dotrzymał.

— To znaczy, że oboje możemy robić, co chcemy?

— Oczywiście!

Przyspieszył gwałtownie. Carol zorientowała się, że jej ostatnie słowa bardzo go rozzłościły, ale za wszelką cenę chciała ocalić choć część własnej godności. Mark Ransome mógł być księciem teatru, mogły się za nim uganiać aktorki, ale ona, Carol Keen — Ransome, poprawiła się natychmiast, nie miała zamiaru rezygnować z własnej osobowości. Jeżeli chce wojny — będzie ją miał. Sprawy ułożyłyby się inaczej, gdyby on ją kochał, a ona jego, ale tak...

Zatrzymali się na obiad w bardzo drogim hotelu, Carol nie miała jednak na nic apetytu. Chciała jak najprędzej być sama i wypłakać się. Źle zrobiła, pozwalając na ten dziwny związek, ale czy miała inne wyjście?

— Jeżeli nie jesteś głodna, chodźmy stąd — powiedział oschle.

Posłusznie wstała i znów pojechali przed siebie. Uliczne latarnie, jak pomarańczowe paciorki, rozświetlały ciemne niebo. Radośni, szczęśliwi ludzie szli po chodnikach parami, tylko w samochodzie atmosfera pełna była napięcia, a nawet strachu, zaś Mark nagle wydał jej się zupełnie obcym człowiekiem. Zmarszczone, czarne brwi, wystający podbródek i dłonie mocno zaciśnięte na kierownicy.

Przystanęli przed wysokim, jasno oświetlonym budynkiem. Mark zaparkował samochód w podziemnym garażu, skąd winda zabrała ich na trzecie piętro. Mieszkanie, a raczej apartament był przestronny, luksusowo

umeblowany i wyposażony. Po podłodze, wyściełonej miękkimi dywanami, stąpało się nadzwyczaj lekko. W kryształowych wazonach pyszniły się kwiaty, a ściany udekorowane były obrazami. Carol niezbyt orientowała się, w jakim stylu były utrzymane, lecz razem wzięwszy kontrastowały znakomicie z bielą ścian.

— Tu jest łazienka — powiedział Mark. — Tutaj kuchnia, a tu pokój gościnny. Te drzwi prowadzą do twojej sypialni, a moja jest po drugiej stronie. Napijesz się czegoś?

Podszedł do barku, nie czekając na odpowiedź. Usiadła w głębokim fotelu i na próżno starała się wymyślić, pretekst do zagajenia rozmowy. Jednego pragnęła najbardziej — uciec przed zimnym, stalowym spojrzeniem oczu, które były w stanie przewiercić ją do głębi. Była w pułapce i nic nifc mogła na to poradzić.

— Napij się — powiedział Mark obojętnym tonem. — Miałś ciężki dzień, może się położysz?

— Dziękuję.

Wypiła podany napój i spod przymkniętych oczu spoglądała na Marka. Ze zdziwieniem spostrzegła, że znów odzyskał dobry humor. Gwizdał nawet jakąś melodię do wtóru radia. Po chwili zbliżył się do niej i wyjął jej z dłoni szklanę.

— Dobranoc, pani Ransome. Życzę miłych snów. Wysyłał ją do łóżka jak niegrzeczne dziecko. Niewiedząc, czy ma czuć ulgę, czy złość, wyszła do swej sypialni. Cichutko zamknęła za sobą drzwi na klucz, potem rozebrała się i położyła na ogromnym, miękkim łóżku. Radio nadal grało. Czy ma zamiar tak siedzieć całą noc? Wreszcie zrobiło się ciszej. Usłyszała kroki, zbliżające się do jej pokoju. Wstrzymała oddech i czekała, co się stanie. Potem kroki oddaliły się. Usłyszała cichy trzask zamykanych drzwi i zasnęła.

## ROZDZIAŁ 15

Tygodnie mijały bardzo szybko. Mark, stale zajęty przedstawieniem, spędzał większość dnia w teatrze, a kiedy wracał, przyprowadzał z sobą całe mnóstwo osób. Julia i Frances często bywały w ich domu, lecz właśnie Julia zaczęła przyciągać uwagę Marka. Nowa, główna rola sprawiła, że wprost promieniała z radości, co najwyraźniej udzielało się też Markowi, który ćwiczył z nią niektóre jej kwestie. Pewnego dnia Frances nie wytrzymała i wzburzona powiedziała do Carol:

— Nie sądzisz, że powinnaś zareagować na tę wspaniałą rozwijającą się przyjaźń?

— Jaką przyjaźń? — spytała Carol ze zdumieniem.

— Nie wyglupiaj się, przecież wiesz, o co mi chodzi. Między twoim mężem i Julią.

— Przesadzasz. Julia po prostu doskonale wcieliła się w postać z jego sztuki, nic więc dziwnego, że Mark jest zadowolony.

— Skoro tak mówisz, pewnie masz rację, ale czy naprawdę muszą spędzać ze sobą tyle czasu?

— Frances, to nie ma dla mnie najmniejszego znaczenia.

— Twoja sprawa. A jak ci się układa z Markiem?

— Doskonale. Dlaczego pytasz?

— Tak sobie. Ale pamiętaj, jeśli nie traktuje cię należycie, będę musiała z nim poważnie porozmawiać.

Carol uśmiechnęła się z niedowierzaniem.

— I naraziłabyś na szwank swoją karierę?

— Tak. I szczerze mówiąc, ostatnio odnoszę się do niej z pewnym dystansem. Kiedy patrzę na siebie z boku, moje zachowanie wydaje mi się dość dziwne, zważywszy, jak długo czekałam na tę szansę.

— To znaczy, że myślisz czasem o Shanie? O jego zwierzętach? O tym, jak ładnie by ci było w białym fartuszkach i czepku? Do końca życia w domu za Tambethwell?

— Carol! Jak możesz!

— Nie staram się tylko upiększyć rzeczywistości. Sama będziesz musiała dokonać wyboru, a kiedy już się zdecydujesz, Shane nie puści cię od siebie ani na krok.

— Lepiej zapomnę o tym na jakiś czas.

— Tylko nie na długo. Frances przestraszyła się.

— Co masz na myśli?

— Nic, ale Amy pisała do mnie niedawno, że córka pani Briggs przychodzi mu pomagać w lecznicy. Podobno Jean wyrosła na bardzo ładną dziewczynę. Jak widzisz, nasza Amy bawi się w swatkę.

— Ojej! — krzyknęła Frances i spojrzała na zegarek. — Muszę lecieć! Nie masz pojęcia, jak Mark się wścieka, kiedy ktoś spóźni się na próbę. Czasem mam go po dziurki w nosie.

Carol w zadumie poprawiała kwiaty w wazonach. Rzeczywiście, Mark i Julia spędzali ze sobą coraz więcej czasu i nie tylko Frances to zauważyła. Na przykład Sam Stone, który chciał nawet przeprowadzić z nią wywiad na ten temat. Oczywiście natychmiast go wyrzuciła, ale o mało się nie rozpląkała, gdy następnego dnia przeczytała w gazecie króciutką notatkę, cytującą słowa Marka na temat Julii:

„jesteśmy dobrymi przyjaciółmi”, oraz komentarz o niezbyt rozmownej pani Ransome.

Mark wrócił do domu w złym humorze, niosąc w ręku gazetę.

— Kiedy tu był ten idiota? — zapytał szorstko.

— Wczoraj.

— Po co go wpuszczając?

— Nie wpuściłam go!

— W ogóle nie powinnaś być z nim rozmawiać! Nie wiesz, jaki on jest?

— Nie rozmawiałam. Nawet...

— Możliwe. Prawdę powiedziawszy, traktowanie ich wszystkich jak powietrze sprawia ci przyjemność, prawda? Nawet wobec mnie zachowujesz się tak samo. Chodzisz dookoła z zadartym do góry nosem, a kiedy stwierdzisz, że wywiązałaś się ze swoich obowiązków, zaraz znikasz w swoim pokoju. Nic dziwnego, że wszyscy zaczynają plotkować!

— Nie chodzę z zadartym nosem. Po prostu nie pasuję do tego środowiska. Ci ludzie mówią zupełnie innym językiem, a ty jesteś tak zajęty Julią, że nie zauważasz, jak bardzo się staram.

— To prawda, nie zauważyłem, żebyś w ogóle się starała. Julia przynajmniej mnie nie unika. Nie zastyga w przerażeniu, kiedy obok niej przechodzę.

— Ja też nie zastygam i sam dobrze o tym wiesz. Z jakiegoś powodu robisz sobie ze mnie widowisko i potem masz pretekst, żeby mnie unikać. Chcę wrócić do Cherry Trees.

— Zostaniesz przynajmniej do premiery, a potem zrobisz, co zechcesz.

— Czasami zachowujesz się tak, jakbyś nie czuł do mnie ani odrobiny sympatii.

— Czyżby! — warknął ze złością. — A gdybym tak dalej się zachowywał? Podejdz bliżej!

— Nie! — krzyknęła. — Nie będziesz mi rozkazywał. A tym tonem możesz się zwracać do aktorów!

Głęboko urażona, pobiegła do swojego pokoju. Mark zupełnie nie miał racji. Próbowwała się zaprzyjaźnić z aktorami i aktorkami, bynajmniej nie czując się źle w ich towarzystwie, a oni ze swej strony nazywali ją po imieniu i często odwiedzali. Był zły, bo znów dała mu odczuć, jak bardzo go nie znosi, a plotki o nim i o Julii nie mijały się z rzeczywistością. Kręcił się wokół Julii, gdyż zależało mu na sztuce. Julia naprawdę wczuła się w rolę. Miała zamiar wystąpić w przedstawieniu swego życia i cokolwiek by mówiła, jej myśli krążyły tylko wokół sztuki. A może spodziewał się, że jego żona uklęknie przed nim i z zachwytem będzie się wpatrywać w swego pana i władcę?! Po premierze zaraz wracam" do Cherry Trees, mego ukochanego domu.

Z biegiem dni Mark stawał się coraz bardziej nieprzystępny, coraz bardziej obcy. Carol zdawała sobie sprawę, że dłużej nie jest w stanie tego znosić...

Na premierę przyjechali wszyscy znajomi z Tambethwell, wśród nich Shane, który przywiózł podekscytowaną Amy. Mark stał się znów czarującym mężczyzną, zabrał ich za kulisy i przedstawił aktorom, starannie ukrywając fakt, że bardzo się niepokoi o losy przedstawienia. Frances poczerwieniała na widok jak zwykle uśmiechniętego Shane'a, nie mogąc się zdobyć na nic poza zdawkowymi odpowiedziami na jego pytania.

Przedstawienie wypadło znakomicie. Sztuka opowiadała o młodszej miłości, pełnej oddania, słodyczy i smutku. Snuła się tak delikatną przędzą, że atmosfera wiosny zdawała się udzielać zasłuchanej widowni. Potem nagle zmiana nastroju — bieg wydarzeń, zdający się zmierzać ku tragedii, gdy uczucie krzyżuje plany wielkich interesów, cała seria intryg, próba morderstwa i cierpienie młodych, którym nie pozwolono być razem.

Łzy pociekły Carol po policzkach, gdy po ostatniej scenie opadła kurtyna. Wszyscy byli wspaniali, nawet Frances wypadła przekonująco w roli ciotki, która pomaga młodym i doprowadza wszystko do szczęśliwego końca.

Za kulisami Frances dzieliła się swą radością z Shane'em, mówiąc, że teraz, kiedy udowodniła sobie, że potrafi grać, chce porzucić teatr i wrócić do Tambethwell, jak tylko znajdzie się ktoś na jej miejsce.

Gwiazdą wieczoru była jednak Julia. Patrząc na nią, spowitą blaskiem reflektorów i tonącą w kwiatkach, można było przypuszczać, że zdobyła

sobie trwałe miejsce w teatrze. Mark całował szczupłe palce Julii i uśmiechał się do niej, zapraszając wszystkich dookoła na przyjęcie, jakiego jeszcze nie było: z szampanem, do białego rana, do chwili gdy wyjdą poranne gazety z recenzjami...

Amy i Shane zatrzymali się w tym samym hotelu, lecz nie było im pisane zmrużyć oka w towarzystwie, pijanym wielkim sukcesem przedstawienia. Carol nie brała udziału w ogólnym szaleństwie. Patrzyła na rozradowanego Marka, w którego życiu, jak jej się wydawało, nie było dla niej miejsca. Do Cherry Trees przyjedzie tylko wtedy, gdy poczuje się zmęczony... teraz ma tłumy wielbicieli i... Julię!

Stację kolejową dzieliła od domu dość duża odległość, ale dla Carol nie miało to większego znaczenia. Przypomniała sobie pierwszą wizytę Marka w Cherry Trees i swoją reakcję: niechęć pomieszaną ze strachem. Nic wtedy nie wiedziała o jego pozycji, pieniądzech i nieugiętej woli podporządkowywania sobie wszystkiego. Przeczucie? Czy mogła wtedy odgadnąć, że oto siedzi przed nią jej przyszły mąż i właściciel Cherry Trees?

Zmęczona, weszła do środka, przyznając sama przed sobą, jak śmieszne i nieporadne musiały się Markowi wydawać jej wysiłki utrzymania domu.

Kotki spały smacznie w kuchni. Jedzenia, które Amy im zostawiła, wystarczyłoby na tydzień. Jak urosły! pomyślała, spoglądając na jasną głowę Złotka. Przecież są tu dzięki Markowi... Jak to on powiedział? Biedny Złoty Deszcz...

Wyszła na górę do mieszkania, które wynajmował. Mimo, że pokój był pusty, zdawał się emanować jego obecnością. Podniosła z podłogi sweter, porzucony zapewne w chwili, gdy skończył sztukę. Wybuchając płaczem, przytuliła do siebie wspomnienie męża. W ułamku sekundy doznała olśnienia: kochała go! Całym sercem i duszą. Usiadła na fotelu, w którym zwykle odpoczywał Mark, i zmęczona wydarzeniami dnia, zasnęła. Przebudziła się tylko raz, późną nocą, i wydało, jej się, że ktoś cicho zamknął drzwi, lecz natychmiast znów zamknęła oczy, pochłonięta nową falą snu.

Obudził ją promyk słońca, wkradający się przez okno. Przez chwilę nie wiedziała, gdzie jest, lecz jak tylko doszła do siebie, zdecydowała się. Pojedzie do Marka i powie mu, że muszą się rozwieść. Przeprosi go za kłopoty, których była przyczyną, i zajmie się na serio swoim życiem.

Mark będzie chyba chciał zatrzymać Cherry Trees, ale nie zrobiło to na niej wielkiego wrażenia. Najważniejsze, że Amy będzie się miała gdzie podziąć.

— Zakochałam się — powiedziała półgłosem. — Ale nigdy nie przypuszczałam, jak gorzki smak może mieć to uczucie ani jak wielu cierpień może przysporzyć.

Wstała z mocnym postanowieniem doprowadzenia swoich spraw do końca. Na dole zauważyła, że drzwi wejściowe są otwarte. Pewnie zapomniała je zamknąć wczoraj wieczorem. Nagle zachrząścił żwir pod czujnymi stopami i na schodach pojawił się Mark.

— Dzień dobry. Kupiłem trochę wiktuałów — powiedział wesoło i zaczął wyjmować z koszyka jaja, masło i mleko.

— Jak... Skąd się tu wziąłeś? — szepnęła.

— Przyjechałem. Znalazłem cię wczoraj wieczorem, ale nie chciałem ci przeszkadzać.

— Wyszedłeś z przyjęcia? Dla mnie? — Carol czuła, że się rumieni. Na pewno widział, jak tuliła do siebie jego sweter — a teraz uśmiecha się do mnie.

— Gdzie Amy trzyma patelnie?

— Pozwól, ja zrobię śniadanie. Od razu mi się humor poprawi.

— Dobrze, ty smażyz jaja, ale ja pokroję chleb. Jestem głodny jak wilk. Co ci się stało?

— Nic. Nie gniewaj się, że uciekłam z przyjęcia, ale nie chciałam ci psuć zabawy. Nie przypuszczałam, że zadasz sobie trud i przyjedziesz za mną tutaj.

— Przestań na chwilę i chodź do mnie bliżej — poprosił.

— Myślałam, że jesteś głodny — spojrzała nań zaskoczona.

— Jestem, ale są ważniejsze sprawy do omówienia.

— Jeżeli chodzi o rozwód, to zrobię, jak będziesz chciał. To znaczy...

— Podejdź do mnie! Pani Ransome, proszę mnie choć raz posłuchać! — chwycił ją za ręce i spojrzał jej głęboko w oczy. — Posłuchaj. Próbowałem nie zwracać na ciebie uwagi, próbowałem wzbudzić w tobie zazdrość, rozwścieczyć, rozdrażnić, ale Amy twierdzi, że nie zrobiłem najważniejszego!

— Amy? Nie wiedziałam...

— Wszystko jej opowiedziałem. Tak, wczoraj wieczorem. Kiedy zauważyłem twoje zniknięcie, o mało nie oszalałem, potem poszedłem ze wszystkim do Amy. Powiedziałem, jak przekonałem cię do małżeństwa... Z powodu Cherry Trees. Potem ona kazała mi powiedzieć prawdę.

— Prawdę?

— Tak. Mówiłem jej, że nie chcę cię przestraszyć, że gotów jestem czekać, a ona jak na mnie nie wrzaśnie! Wygarnęła mi, że za dużo wiem o



postaciach ze swoich sztuk, ale że ciebie nie znam zupełnie. Kazała mi powiedzieć ci prawdę...

— Nie rozumiem...

— Ojej! — powiedział wzburzony. — Czy naprawdę bez tego się nie obejdzie? Kocham cię, Carol kocham cię i za nic w świecie nie pozwolę ci odejść ode mnie. Mów, co chcesz, ale jesteś moją żoną i prędeż cię związę, niż pozwolę ci odejść choćby na krok!

Nie spuszczał z niej wzroku, ona zaś była przekonana, że Mark słyszy radosne bicie jej serca. Próbowwała coś powiedzieć, lecz wzruszenie odbierało jej mowę.

— Kocham cię, Carol — powtórzył Mark. — A jeśli ty nie możesz tego samego powiedzieć o mnie, to chyba oszaleję.

— Ja też cię kocham — wykrztusiła wreszcie. — Nawet wtedy, kiedy krzyczysz na mnie bez powodu i mówisz, że mnie kochasz takim tonem, jakbyś chciał mnie udusić. I wtedy...

Potem jej śmiech zmieszał się ze łzami, a gdy Mark objął ją i przytulił, zamykając usta pocałunkami, nic więcej nie miało dla niej znaczenia, bo wiedziała, że byli już razem... na zawsze...

RS